

WIEŚ

"Ossolineum"

Biblioteka

"rocław ul. Szewska 37"

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok IV

Łódź, 30 marca 1947 r.

Nr 13 (92)

REDAKCJA TYG. SPOŁECZNO-LITERACKIEGO „WIEŚ”

OGŁASZA **KONKURS** NA ANKIETĘ:

„MOJA DROGA DO SZKOŁY ROLNICZEJ I ZE SZKOŁY ROLNICZEJ DO WSI”

NAGRODY: I-15.000 zł, dwie II po 10.000 zł, III-5.000 zł oraz 50 autorów wyróżnionych odpowiedzi otrzyma nagrody książkowe z zakresu rolnictwa i literatury.

Kto uczestniczy w konkursie?

Grupa pierwsza:

Udział w niej biorą wszyscy uczniowie najwyższych klas gimnazjów rolniczych, powiatowych szkół rolniczych oraz obu klas liceów rolniczych. Wypełnienie ankiety przez wszystkich uczniów wymienionych klas zostało w wyniku porozumienia z Redakcją „Wiś” zlecone Dyrekcjom Szkół Rolniczych przez Dyrektora Departamentu Oświaty Rolniczej w Ministerstwie Rolnictwa i Ref. Roln. ob. Mieczysława Wysockiego.

Grupa druga:

II. Udział w niej biorą wszyscy zainteresowani Szkołami Rolniczymi. W szczególności cenne dla nas były-

by wypowiedzi starszego pokolenia, które pamięta jeszcze pierwsze Szkoły Rolnicze w Galicji, w Wielkopolsce i „garamiarskie” w Kongresówce. Obserwowało ono później szkolnictwo w latach międzywojennych i może porównać te dwa okresy.

III. Dla lepszego opłacenia odpowiedzi na ankietę prosimy Panów Profesorów Szkół Rolniczych o zebrać odpowiedzi w 2-3 ratach. Pierwsza na punkt I i II, druga na p. III. Ich również lub samorząd klasowy prosimy o zbiorowe i łączne wysłanie odpowiedzi ze szkoły. Odpowiedzi mogą być krótkie lub dłuższe, nie powinny jednak pominąć żadnego pytania.

IV. Nagród głównych jest cztery, przy czym dwie pierw-

sze i czwartą zdobywają ci uczestnicy, których najciekawsze odpowiedzi dotyczyć będą p. III i p. IV. Druga nagroda zastrzeżona jest dla najciekawszych odpowiedzi na p. I i II.

V. Wynik ankiety oraz nagrodzone i wyróżnione odpowiedzi zostaną ogłoszone na łamach tygodnika „Wiś”. Cały zaś materiał przekazany Instytutowi Socjologicznemu w Łodzi, znajdującemu się pod kierownictwem prof. J. Chalasińskiego.

VI. Termin nadsyłania odpowiedzi na ankietę upływa z dniem 15 maja 1947 r. Kierować odpowiedzi należy na adres: Redakcja Tygodnika Literacko-Społecznego „Wiś”, Łódź, ul. Piotrkowska 96.

ANKIETA

Nazwisko, imię, adres zamieszkania, data urodzenia.

I. Wiś rodzinna:

- 1) a) oddalenie od miast, b) drogi — komunikacja, c) gleba, d) przeciętny sposób gospodarowania na roli, odchylenia ku uwsteczniemu i postępowi (w czym, kto, dlaczego), e) instytucje gospodarcze, kulturalne (szkoły, jakiego rodzaju, świetlice, ośrodki zdrowia), ośrodki przemysłowe — w promieniu wsi, gminy?
- 2) a) grupy gospodarcze i zawodowe w % (bezrolni, folwarczni, małorolni, średniacy, wielkorolni, rzemieślnicy, inteligencja miejscowa, przybłą, jakich zawodów?), b) ich znaczenie społeczne na wsi? Która, kiedy i w czym największą gra rolę?
- 3) a) liczebność twojej rodziny? b) warunki materialne? (jaka grupa?), c) warunki kształcenia się (jakie przeszedłeś szkoły, zawody i prace?)
- 4) a) Jakie osoby (ojciec, nauczyciel, kolega starszy) wywołały na tobie silniejszy wpływ i jaki? b) jakie instytucje i organizacje (dom, szkoła powszechna, kościół, Koło młodzież., fabryka, spółdzielnia, partyzantka itd.) i w czym się on wyraża?
- 5) Jaka była ilość we wsi młodzieży mniej więcej rówieśnej? Jakie było jej współzycie? (kawalerka, koła, świetlice, teatr ludowy, zabawy, czytanie i dyskusje...). Jak ty i z kim współzycie? Jakie pamiętasz z tego okresu najsilniej wydarzenie? Jaka książka najbardziej cię poruszyła i dlaczego? Ilu kolegów i koleżanek uczyło się czy uczy powyżej szkoły powszechnej?

II. Okres okupacji:

- 1) Jak przeżyłeś te lata? a) w pracy na gospodarce rodziców, w zawodzie, na miejscu? b) uczyleś się — czego, gdzie, w jakich warunkach? c) byłeś wywieziony do Niemiec, aresztowany — czego się tam nauczyłeś, jakie są twoje wrażenia i wnioski? d) byłeś w partyzancie?
- III. W szkole rolniczej:
 - 1) a) dlaczego wstąpiłeś do gimnazjum rolniczego? (szkoły rolniczej), b) jaki przedmiot najbardziej cię interesuje? c) jaki rodzaj praktycznych ćwiczeń? d) jaka książka z zakresu rolnictwa najbardziej cię zaciękała? A jaka z innego zakresu? Jak czytasz pisma nierolnicze?
 - 2) a) czy absolwent gimnazjum lub liceum rolniczego winien wrócić na własne gospodarstwo czy pójść na pracę o szerszej doniosłości społecznej? b) jakie prace otwierają się dla was (na ośrodkach państw., resztówkach, gminnych, powiatowych, agronomów, Izby Rolniczej, Zw. S. Ch., przemysł rolny, Spółdzielnie), c) czy jesteście za gospodarką planową i rejonizacją? Jaką twoim zdaniem winien odegrać rolę absolwent w planowej gospodarce rolnej?
 - 3) a) W oparciu o wiedzę jaką nabyłeś w gimnazjum rolniczym, jakie widzisz błędy na swojej wsi w uprawie rolnej (w jakich zakresach)? — jakich dziedzin nie ma (hodowle czego?, warzywnictwo, sadownictwo itd.)? b) w technice i rodzaju narzędzi czego brak? c) w organizacji pracy (specjalizacja, spółdzielnia sprzedaży wspólnej, przemysł przetwórczy).
 - 4) a) jakie zmiany i nowe urządzenia wprowadziłbyś na swojej wsi? W jakim zakresie? b) czy dądasz się one przeprowadzić bez równoczesnych przemian i w innych wio-

kach? c) w jakim stopniu zależą one od czynników wyższego rzędu (w gminie np. Spółdz. Zw. S. Ch., ośrodek przemysłu przetwórczego, stacja maszynowa, w powiecie: Izba Rolnicza, Zarząd Zw. S. Ch., urzędy melioracji, drogowe, plan rejonizacji itd.), d) czy inne czynniki nie będą w tej akcji przemysłowo-rolniczej potrzebne — jakie i jak? (szkoły powszechne, świetlice, koła młodzieżowe, uniwersyte-ty ludowe, czytelnictwo, inne zawody — inżynierowie, technicy, lekarze, działacze społeczni?)

- 5) Podaj konkretny, doraźny plan, możliwy do przeprowadzenia (w zakresie rolniczym) zmiany na twojej wsi, licząc się z obecnymi warunkami i siłami ludzkimi, jakie na niej się znajdują (z innych zawodów i w wyższych ośrodkach dyspozycyjnych planu gospodarczego).
- 6) a) Z ludźmi jakich zawodów uważasz za potrzebne i konieczne pracować jako rolnik — społecznik? b) Jakież zatem rodzaje wiedzy winny być również przez młodzież wiejską zdobyte, aby podniosła się wydajność i opłacalność rolnictwa?

IV.

- 1) Jaką Szkołę Rolniczą znacie z dawnych lat?
- 2) Czy byliście w Szkole Rolniczej — jaki był jej program wówczas?
- 3) Jakież wówczas były inne instytucje na wsi czy w okolicy? (dwór, plebania, gmina itd.). Jak oddziaływały na wieś? A jakich wtedy nie było?
- 4) Jaki był stosunek wsi i innych instytucji do ówczesnych Szkół Rolniczych?

- 5) Kto wykładał w Szkołach Rolniczych? Z kim się nauczyciele wiązali, bardziej z chłopami, czy z gminą, dworem, szkołą, plebanią?
- 6) Kto uczył się w Szkole Rolniczej? Bogatsi, czy biedniejsi synowie chłopscy? (Jaki stosunek procentowy?)
- 7) Jak wyglądała gospodarka rolna, handel płodami, stopa życiowa na wsi w okresie powstawania Szkoły Rolniczej w okolicy?
- 8) Jaki był wpływ Szkół Rolniczych bezpośrednio na okolicę, jaki jej wychowanków?
- 9) Jakież nowe czynniki — zmiany polityczne, społeczne, nowe na wsi instytucje, większa ilość kształcącej się młodzieży wiejskiej, reemigracja itp. — wpływały na większe uznanie Szkół Rolniczych i podnoszenie gospodarki na wsi?
- 10) Jakież obserwowaliście na przestrzeni wielu lat zmiany w Szkołach Rolniczych, w umiejętnościach wychowanków, w sposobie produkcji rolnej chłopów? Jak się one zbierały, dopełniały i uzależniały?
- 11) Jakbyście określili różnicę między dawnymi (pierwszymi) Szkołami Rolniczymi, a tymi z lat międzywojennych (ostatnich)? Co na to wpłynęło?
- 12) Jakież są Wasze z długoletnich obserwacji wnioski i propozycje w odniesieniu do Szkół Rolniczych i ich rozwoju?

Odpisywać należy bez powtarzania pytań, zamiast nich stawiając odpowiednią numerację np. II a itd.

Pierwsza grupa uczestników konkursu odpowiada na I, II i III punkt ankiety.

Druga grupa — zasadniczo tylko na IV punkt ankiety.

Roman Szymanko

KAPITALIZACJA ROLNICTWA

(artykuł dyskusyjny)

Poruszone przez M. Kokoszkiewicza we „Wsi” oraz kilkakrotnie w „Chłopach” zagadnienie struktury spółdzielczości wiejskiej oraz spółdzielczej gospodarki planowej stanowi moim zdaniem — sprawę zasadniczego znaczenia, od właściwego rozwiązania której zależy nie tylko charakter i forma rozwoju rolnictwa w przyszłości, ale również całej naszej gospodarki narodowej.

Nakreślił przez Kokoszkiewicza plan działalności gospodarczej spółdzielczości Samopomocowej może stanowić sam w sobie temat do dyskusji. Jak każdy nowy plan, tak i ten plan może być poddany analizie i zmianom w zależności od podejścia i nastawienia jego antagonistów lub zwolenników.

Jedno wszakże jest bezsporne dla każdego. Kto plan ten chociażby powierzchownie przejrzał, dostrzegł to, że realizacja jego wymaga oprócz licznych bardzo silnych i ideowych — również — i to przede wszystkim wielkich inwestycji pieniężnych.

Bez miliardowych inwestycji na wsi nie osiągnie się obecnie nie tylko postępu przy przebudowie i odbudowie naszej struktury rolnej, ale nawet nie uniknie się cofnięcia koniunktury na wsi, z czym poważnie należy się liczyć w miarę oddalania się od okresu wojny i gruntowania się stabilizacji gospodarstwa światowego i nawrotu do normalnych stosunków produkcyjnych. Otóż, wydaje się słuszne — zwłaszcza na tle dotychczasowego przebiegu ruchu cen artykułów rolnych i przemysłowych, że producenci rolni przede wszystkim w oparciu o własny przemysł spółdzielczy i inne urządzenia uszlachetniające produkcję surowca rolnego będą mogli dopiero uzyskać wyższe ceny za swoje produkty. Inaczej mówiąc — właśnie w najbliższym okresie czasu oczekiwać należy, że zwiększenie rentowności uprawy rolnej może nastąpić przede wszystkim, a może nawet wyłącznie w wyniku zwiększonej inwestycji wsi we własny spółdzielczy przemysł i inne urządzenia pomocnicze, a częściowo tylko we własny spółdzielczy handel wiejski.

To zaś wymaga wielkiego nakładu kapitału.

Powstaje wobec tego pytanie, z jakiego źródła można będzie brać środki kredytowe na inwestycje?

Najłatwiejszym sposobem jest szukanie kredytów w bankach państwowych względnie w opierającym się na kredycie państwowym: banku spółdzielczym. Doświadczenie jednak uczy, że to, co wydaje się takie, nie zawsze jest najłatwiejsze. Państwowy plan inwestycyjny, obejmujący również plan inwestycyjny spółdzielczości S. Chł. przewiduje wprawdzie wielomiliardowe kredyty na odbudowę wsi, które znajdują bar dzo poważne miejsce w ogólnej sumie projektowanych inwestycji. Niemniej jednak słusznym się wydaje, że przy odbudowie i przebudowie wsi nie można tylko i jedynie ograniczyć się do kredytów Państwowego Planu Inwestycyjnego, ale inwestycje większe oprócz przede wszystkim na własnych kapitałach zebranych bezpośrednio wśród rolników i przeznaczonych na cele służące bezpośrednio wzrostowi rentowności produkcji rolnej.

Jakie więc organizacje wiejskie powołane są w pierwszym rzędzie do odgrywania tej tak doniosłej i ważnej roli gospodarczej?

Odpowiedź na to nie nasuwa wielkich trudności. Organizacjami tymi winny być przede wszystkim uniwersalne gminne Spół-

dzielnie Samopomocy Chłopskiej. Wszelkie rozbicie spółdzielczości na terenie gminy — rozbicie zwłaszcza na spółdzielnie spóżywców i spółdzielnie Samopomocy Chłopskiej działa hamująco na tempo koncentracji kapitału, mogącego być użytym na cele inwestycyjne.

Świadomość tej roli gminnych Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej leżała już u samych początków powstawania Zrzeszenia Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej.

Jako przewodniczący Komisji organizacyjnej Zrzeszenia przywiązywałem specjalną wagę do wprowadzenia do statutu Zrzeszenia przepisu o Funduszu Inwestycyjnym, opartego na wpłatach w wysokości 1 proc. od wszelkich obrotów poszczególnych spółdzielni. Dla zwiększenia funduszy inwestycyjnych Spółdzielni i ich Ogólnokrajowego Zrzeszenia wydawało mi się słusznym objąć obowiązkiem i procentowego Funduszu Inwestycyjnego nie tylko obroty z działalności przemysłowej spółdzielni, ale również i czysto handlowe obroty spółdzielni, uważając, że do rozbudowy przemysłowych urządzeń na wsi winien być podciągnięty nie tylko już istniejący przemysł, ale również i handel. Ponadto, aby zwiększyć fundusze inwestycyjne wydawało się słusznym, aby Spółdzielnie Samopomocy Chłopskiej zajmowały się nie tylko działalnością przemysłową, lecz również i handlową.

Jeżeli omówione wyżej stanowisko nie znalazło półtora roku temu pełnego zrozumienia i akceptacji, to jednak dziś zwłaszcza na tle dyskusji o jednolitej spółdzielni gminnej Samopomocy Chłopskiej — zasady te wydają się całkowicie realne, zwłaszcza dla zwolenników uniwersalnej spółdzielni.

Bez połączenia wszelkiej działalności spółdzielczej na terenie gminy w jedną całość — niemal niemożliwe będzie skumulowanie odpowiedniego kapitału w celu pobudowania nowego miasteczka, fabryki czy szwalni. W odniesieniu do spółdzielczości spóżywców istnieje ogólna tendencja do unikania kumulacji wygospodarowanego kapitału, który jeśli jest osiągnięty, raczej zwracany bywa członkom w tej lub w innej formie. Przy odrębnym istnieniu spółdzielni spóżywców na wsi z zasady więc liczyć się należałoby z tym, że nie przyłożą się one do wielkiego wysiłku uprzemysłowienia wsi.

Ale zakładając nawet, że w wyniku ewentualnych zorganizowanych sugestii, zgodzą się one na kumulowanie kapitału na cele inwestycyjne, to i tak okaże się, że skumulowany na cele inwestycyjne kapitał będzie niższy od kapitału, jaki byłby zebrany, gdyby wszystkie miejscowe spółdzielnie w gminie złączyły się w jedną całość finansową, tym samym i rozmiary inwestycji, dokonywanych przez każdą z istniejących spółdzielni byłyby o wiele mniejsze i w konsekwencji prowadziłyby nawet licząc się z ewentualną pomocą kredytową

banków — albo do drobnych lub wręcz par-tackich inwestycji, albo po prostu do zaniechania wszelkiej działalności inwestycyjnej.

Te względy przemawiają więc w całej rozciągłości za tym, że dla realizacji planu gospodarczego na wsi, choćby nawet realizowany był on nie w pełnych rozmiarach proponowanych przez M. Kokoszkiewicza, ale tylko częściowo — powstanie jednolitej

uniwersalnej spółdzielni gminnej Samopomocy Chłopskiej jest warunkiem koniecznym i nieodzownym.

W tym stanie rzeczy zagadnienie główne streszcza się w pytaniu — jak doprowadzić do powstania jednolitej spółdzielni gminnej, aby przy jej tworzeniu uniknąć niepotrzebnych strat energii społecznej i kapitałowej?

Roman Szymanko

Stanisław Cieślak

Obrót artykułami rolniczymi

1. ŹRÓDŁO KAPITAŁÓW, INWESTYCYJNYCH

Rolnictwo polskie dla swego unowocześnienia potrzebuje kapitałów inwestycyjnych. Zdobyć je można:

- a) z poza rolnictwa,
- b) kosztem ograniczenia spożycia ludności wiejskiej,
- c) kosztem amortyzacji gospodarstwa rolnego,
- d) przejęciem w chłopskie ręce wymiany między wsią a miastem,
- e) przez zmniejszenie kosztów produkcji,
- f) przez powiększenie wydajności.

W okresie odbudowy zniszczeń wojennych, w okresie intensywnego rozwoju przemysłu i przebudowy struktury zawodowej ludności Polski, nie można narazie liczyć na dopływ kapitałów z poza rolnictwa.

Ograniczenie spożycia ludności wiejskiej byłoby sprzeczne z celami polityki gospodarczej rządu demokratycznego, sprzeczne z podstawowymi założeniami Trzyletniego Planu Odbudowy Gospodarczej, bo przy tak niskiej stopie życiowej wsi grozi to biologicznym wyniszczeniem. Nie należy również lekceważyć roli wewnętrznego rynku dla artykułów przemysłowych, a ograniczenie spożycia odbija się w pierwszym rzędzie na zapotrzebowaniu na artykuły przemysłowe.

Zdobycie kapitałów inwestycyjnych na unowocześnienie rolnictwa kosztem amortyzacji (czyli nieodnawiania zużytych narzędzi, budynków, urządzeń melioracyjnych itp.), stosowane jeszcze dziś z konieczności w wielu gospodarstwach, powinno być zaniechane, gdyż jest polityką na krótką metę, prowadzącą do ruiny całego rolnictwa.

Najbardziej realna możliwość (poza zwiększeniem produkcji i zmniejszeniem kosztów własnych — o czym na innym miejscu) — to opanowanie przez chłopów wymiany, zatrzymanie na wsi marży handlowej i kosztów przerobu surowców rolniczych. Są to sumy niebagatelne, idące w miliony złotych.

2. MARŻA HANDLOWA I KOSZTY PRZEROBU W R. 1938 I 1946

W cenie detalicznej artykułów żywnościowych, płaconych przez spóżywcę, wyodrębnić można dwie części: pierwszą — zapłatę rolnikowi za dostarczony surowiec, drugą — to zarobek pośredników i koszty przerobu. Stosunek tych części przed i po wojnie przedstawiał się w sposób następujący: *)

Udziały rolnika, pośrednika i przerobu w cenie artykułów spożywczych w %

L.p. Artykuły	1938		1946**)	
	rolnik	pośrednik i przerób	rolnik	pośrednik i przerób
1. Żyto (chleb)	63.7	51.7	69.2	47
2. Pszenica (mąka)	72.8	44.9	64.2	51.4
3. Jęczmień (kasza)	67.3	50.2	65.3	49.9
4. Ziemniaki	49.5	50.5	59.5	40.5
5. Nierogaczna	64.4	35.6	65.2	39.3
6. Mleko	61.5	38.5	65.0	35.0
7. Jaja	77.8	22.2	74.1	27.1

O czym świadczy to zestawienie? Po pierwsze o tym, że udział rolnika w cenie żywności stanowił w r. 1938 1/2 do 2/3 wartości towaru, udział pośrednika i przerobu pochłaniał resztę.

A chodzi tu o sumy poważne. I np. za wyprodukowaną w r. 1938 pościelę otrzymali rolnicy ok. 500 milionów zł. (przedwojennych), zaś pośrednicy i młynarze ok. 200 milionów zł. Widać więc z tego jasno, że gdyby rolnicy dostarczali mąkę z własnych młynów — to na wieś zamiast 500 milionów zł. przedwojennych dopłynęłoby 700 milionów zł. przedwojennych, czyli możliwości inwestycyjne rolnictwa zwiększyłyby się znacznie.

Oto dlaczego Związek Samopomocy Chłopskiej przykłada tak wielką wagę do rozwoju spółdzielczości chłopskiej i przejęcia obrotu i przerobu artykułów rolnych w chłopskie ręce.

3. POWOJENNY WZROST MARŻY HANDLOWEJ I KOSZTÓW PRZEROBU

Zestawienie podane wyżej świadczy i o innym fakcie, że faktycznie koszty wymiany i przerobu dla wielu artykułów wzrosły kosztem udziału rolnika w wartości towaru. Jeśli do tego dodamy fakt, że zmniejszyła się liczba pośredników, uległy znacznej niższej podatki i obniżył się znacznie koszt transportu towarów — to stwierdzić musimy, że jest to zjawisko dla rolnictwa wysoce szkodliwe. Podniesienie kosztów wymiany i przerobu obniża dochód społeczny wsi i utrudnia jej odbudowę i unowocześnianie rolnictwa.

Możnaby to było ścierpieć, gdyby to szło na rozbudowę przemysłu, w której tak żywo wieś jest zainteresowana. Ale jeśli to idzie dla warstwy pośredniej, nieprodukującej (kupeców, młynarzy i t. p.), na podtrzymanie wysokiej stopy życia spekulantów, to tego ścierpieć nie można. Oznacza to bowiem kradzież części dochodu społecznego wsi, oznacza uszczuplenie możliwości inwestycyjnych wsi o wiele miliardów złotych.

Należy zatem dołożyć wszelkich starań, aby marżę handlową i koszty przerobu zmniejszyć, co najmniej do granic przedwojennych.

*) wg. Nowickiego, Marża handlowa i przerobu w obrocie artykułami rolnymi, Biul. Inst. Gosp. Nar. Nr 4, 1946.

**) Średnia w okresie styczeń — czerwiec w okresie wzrostu cen rolniczych i spadku marży handlowej.

Bronisław Majteczak

DWIE DROGI

Ta jedna wiodła w pole
pomiędzy złote zboża,
gdzie maki i kłóte
barw ją kreśliły zorzą.

Druga nad lasu brzegiem
w zbiłkane strojna chabry
do domów wiodła z cegieł,
do miasta, wielkich fabryk...

U dróg tych z młodszym bratem
staliśmy w dal wpatrzeni —
obaż wyszliśmy z chaty,
by jeden wrócił do niej...

Zbóż nam pachniały snopy,
w oddali dym tkal smugi —
Jeden z nas został chłopem,
a robotnikiem drugi....
sierpień 1945.

W ostatnim 12 (91) numerze „Wsi”

z dnia 23 marca 1947 r.:

Dyzma Gałaj — Amnestia a nowy ustrój;
Jan Nagrabiecki — Wiejski świat; Dr Damazy Tilgner — Rolnictwo i kultura; Stanisław Cieślak — Wydajność w rolnictwie;
Jerzy Sikorski — Zagadnienie germanizacji;
Konstantyn Hamsachurdi (przekł. Tadeusza Chrościelewskiego) — Prawica znamienitego mistrza; Od tłumacza — Tadeusz Chrościelewski; Jakiej powieści chce dzisiejsza wieś?; Leokadia Marciniak, Maria Kotalska, Władysław Kuchta; Włodzimierz Olszewski — Dozreczem mlecznej drogi; Józef Proń — Wóły szkoły rolniczej na okolicę; Bolesław Dynda — Wójt i parcelacja; Adolf Olechnowicz — Z podróży na Pomorze wschodnie; Jan Zieliński — List z Kielecczyny; Piotr St. Ziarnik — Czy powieść partyzancka? Fakty i zdania; Wiesław Jażdżyński — Cudze chwalicie — swego nie znacie; Komunikaty, ogłoszenia, 3 ilustracje, 8 stron.

Stanisław Włowski

Ilustrował Andrzej Strumiłło

Z pamiętnika wiejskiego nauczyciela

I oto rzeźnia noc spędzam w Jarzebnikach. Nie wiem, czy dobrze zrobiłem, opuszczając miasto. Pociesza mnie jednak myśl, że w każdym wypadku będę mógł wrócić do Bagienicy. Tymczasem zaś przeżyję drugie dzieciństwo. Toć Jarzebniki leżą trzy kilometry od Czarnowa — mojej rodzinnej wsi. Właściwie to mnie skusiło ostatecznie, że wybrałem tę wieś. Na domiar nadchodząca wiosna — wolność nareszcie, chociaż nad Odra grają jeszcze armaty.

— Co prawda — dużo do wyboru Jarzebnik przyczyniła się nowa szkoła — dla mnie dwa pokoje z kuchnią na piętrze, także okolica mała, w pobliżu las — również znajomy kierownik szkoły, pan Radeck. Znam go jako współparafianina od szkolnych lat. Co prawda on później poszedł do gimnazjum w mieście, ja zostałem w Czarnowie i od tej pory widzieliśmy się może pięć razy. Znam jednak dokładnie dalsze jego dzieje. Dość, że imponować mi nie może.

Nie wiem, jak mu tam szło, w gimnazjum, ale mimo zamożności ojca skończył tylko sześć klas — następnie był nauczycielem opodal w Poznańskim. W tym czasie ożenił się z panną z naszej parafii. Dziewczyna skończyła tylko pięć oddziałów szkoły powszechnej, ale że rodzice posiadali czterdzieści morgów — liczyła się i jeszcze liczy do miejscowej arystokracji, choć wyglądała na pospolitą: rumiana mocno na twarzy, o czarnych złośliwych oczach, średniej tuszy.

Sam pan Radeck też nie jest widać orłem, choć nie brak mu pewnej obrotności. Już to, że potrafił za Niemców utrzymać się jako pracownik w miejscowej gminie i to w wydziale gospodarczym — coś o nim świadczy. Słyszałem nawet, że był w wykonywaniu swych obowiązków zbyt gorliwy, zwłaszcza w stosunku do Polaków... Nie znając go jednak w tym czasie a i przedtem bliżej, nie o tym narazie powiadam nie mogę. Jedno tylko pamiętam. Gdy byłem za Niemców w rodzinnej gminie w jakimś interesie — udał, że mnie nie poznaje — może tylko ze względu na otoczenie... Dziś — nie powiem — jest dość serdeczny — może dlatego, że drukowałem coś tam przed wojną i liczy się, że znów coś napisze... Lubię go, ciekawi mnie jego psychika, choć twarz ma zwykłą. Czoło dość duże, wypukłe, rzadkie już jasne włosy, oczy niebieskie pod żółtymi brwiami i niewielki na kształt wroblego dzioba nos.

W porównaniu ze mną jest jednak panie — właściwie bogaczem. Ma brata na gospodarstwie ojcowiskim we wsi Głuszy, drugiego w Czarnowie — też blisko na trzydziestu morgach, siostrę zamężną w Łabęcinie, nie mówiąc już o czterdziestomorgowej matce, żony. Wrócili już wszyscy do swych siedzib i pan Radeck wśród nich nie zgina, gdy ja liczę tylko na wspaniałomyślność wsi. O pensji bowiem nikt jeszcze nie myśli. Jest początek marca 1945 roku. Ciekawym, jakie też życie tu prowadzi — w istocie głuszy. Odbija się w niej posępnie odległy huk armat, zwłaszcza obecnie noca. Niemcy to pomruki, światło mizerne, bo naftowe, w mieszkaniu — niedogrzany jeszcze — chłód... Niemal mi żal Bagienicy. Cóż — dla „niewykwalifikowanych” nie było w nim miejsca, a i tęsknota za pewnym spokojem, choć spojrzenia z odległości na wypadki... Tytuł, że siostra przy mnie, chociaż z jej usposobieniem trudno w normalnych czasach wytrzymać. Ha, może się ostatecznie na wsi ożenie. Trudno — lata płyną, niedostatek ciągły, a „ideal” nie widać i nie widać.

Pierwsze lekcje mam już poza sobą. Ponieważ lawek mamy niewiele i jedna tylko tablica, uczymy na dwie zmiany — pan Radeck od dziesiątej rano, ja po południu. Nie bardzo mi to dogadza, gdyż kończę niemal o zmroku, zaczawszy o pierwszej. Nadto z woli pana Radecka otrzymałem dwa najniższe oddziały — najniższe, bo chodzą do nas dzieci z okolicznych wsi, gdzie — choć są szkoły — nie ma jeszcze nauczycieli.

„Materiał” mam dość nierówny. Obok ośmioletnich, chłopcy już w wieku dojrzewania, nie poddający się łatwo cudzej woli. Wyróżnia się wśród nich zwłaszcza Jany — w istocie jasny, tegi blondynek z Łabęciną. Stale na niego słyszę skargi, że bije towarzyszy w drodze do domu, a i w szkole niechętnie do mych rozporządzeń się nagina. Mniejsza, że to syn dworaka — widzę w tym wpływ wojny — brak dozoru ze strony rodziców.

Zresztą ten dozór na wsi nad młodzieżą i w czasie spokojnym... Pamiętam własne dzieciństwo, gdy moja wychowawczynią była droga pola, a naogół towarzysze. Co prawda to ja na nich wpływałem wówczas. Owe, wyprawy na słońce, na bedki „słoneczniczek” po czerwcowym deszczu na rowach, z lukami w reku, wczesna wiosna wyprawy na czajki na dalekie, zalane wodą „Przytogi”... Odwiedza te wszystkie drogie miejsca obecnie wiosna, w lecie, choć wiem, że tam dużo się zmieniło, jak i w nas samych od tej pory. Uczy — nie powiem — lubię, dzieci młodsze są posłuszne, tylko — z braku podręczników nadmiar roboty... Każdego, każda oddzielnie wysłuchać czytania, oddzielnie napisać wzory w zeszytach, sprawdzić rachunki na sześćdziesiąt przeszło dzieci — jest to duża praca... Grunt jednak, że wiosna idzie, dnie i wieczory są coraz bardziej złociste, wysokie, dłuższe. Armaty także umilkły nad Odrą. Czyżby już na dobre?

Poznałem też bliżej kilku ludzi z miejscowej elity. Wiele komendantów wojennych — kapitan Jermakowa, rezydującego w gminie z kilku żołnierzami na schwał, także woja — mojego współparafianina z młodych lat. Wygląd ma niebardzo poważny, bo młody jesz-

cze — złociste włosy, pociągogłowy gospodarz z Czarnowa. Ponieważ Niemcy rozebrali mu stojącą na uboczu w polu zagrodę, obecnie mieszka we dworze Jarzebnickim — właściwie w oficynie. Właśnie — że wójt znajomy, liczę na niego dużo. Mówimy sobie nawet po imieniu. Ha, zobaczmy, co kryje jego ciągły uśmiech, pochylona na bok głowa, choć w domu podobno cierpi z powodu zazdrości żony i nadmiaru „pocięch”. Ma już siedmioro, a ósme pono w drodze.

Następnie pan sekretarz — niewysoki a plechysty, co czyni go przysadkowatym — uśmiechnięty ciągle ochocz, podobno dobry kompan do kieliszka, jak i wójt. Następnie pan instruktor rolny — pan Koczula. Skąd on się tu tak przedko wziął? — kawaler jeszcze, choć nieco pochylony, łysawy już. Następnie woźny gminny Michał Szumiński — także stale uśmiechnięty „geba” — widać dusza człowiek, skłonny do kieliszka.

Prócz kilku jeszcze w gminie urzędników — między nimi dojeżdżający z Łabęciną organista — pracują także trzy panny. Jedna z nich, to młodsza siostra pani Radeckowej — powłóczysta panna Irena. W istocie chodzą i załatwiają interesantów niby półsenna. Żywa już jest czarna, panna Stasia, zerkająca na pana Koczula, urzędującego także w gminie. Natomiast panna Kazia, prawa ręka sekretarza — wysoka, smukła — wyjątkowo tylko raczy się uśmiechnąć. Skupiona zawsze, poważna, powiedziałabym — smutna. Czyżby dlatego, że ma blisko trzydzieści lat?

Do elity miejscowej trzeba zaliczyć jeszcze dwu właścicieli sklepików. Jeden pan Sniadowski — wysoki, szczupły, z blizną na twarzy, popularnie zwany Marcelem, drugi — pan Jan Krecik — rzemieślnik, o śmiejącej się ciagle rumianej twarzy, niski, tłusty. Od czasu do czasu już coś zabije, zwłaszcza na polecenie pana komendanta wojennego i do jego dyspozycji. Może z czasem dostanie się i nam — choćby kupić, szczególnie „okrasę”.

Zapomniałbym nieomal o kierowniku miejscowej poczty, mieszczacej się także w gminie — panu Cwikowskiemu. Za Niemców podobno Leistungspole — dziś należy do najołśniejszych we wsi patriotów. Ciekawym, czy jaka partia istnieje na terenie gminy. Maszę pogadać z wójtą. Toć przed wojną był podobno działaczem w Stronnictwie Ludowym, na mocy czego został obecnie wójtą, mianowany przez kapitana Jermakowa, chociaż — słyszę — początkowo obowiązywał wójt obaj pan Gibalski, gospodarz miejscowy i naczelnik straży. Podobno jest teraz z braku po parcia przez komendanta rozwołany. Poznałem go przelotnie. Wygląda dość poważnie — starszy już, niby skupiony.

Osobiście podoba mi się więcej Kasper Lingas — gospodarz również z Jarzebnik, młodszy tylko i bardziej żywy, a przeto — mnie — cymny. Z twarzą nadto przypomina orlika. Ha, zobacz. Może zaczniemy razem coś robić społecznie, gdyż i z ta myślą tu przybyłem. Okolica, ludzie znani mi z ogółu, wiedza, że mam trochę szkoły, a i serce gorące czuję w sobie. Marzęłem kiedyś, że by wyśiść stąd posłem... Ach, gdyby armaty na dobre już grać przestały i wróciła Hanna. Czuję, że przy niej wiałbym większy jeszcze rozmach, jak zwykle przy kimś, kogo kochamy.

Dziewczyn, owszem, tu nie brak — choćby Krecikówny — aż trzy w domu i wszystkie trzy gładkie (dwie jeszcze chodzą obecnie do szkoły). Młody takie robią, jakby grały rolę księżniczek — niewypuczone. Niech pan Koczula która bierze, bo nawet u nich się stołuje i łatwy to typ w obcowaniu, gdy ja po staremu w obliczu ludzi nowych i panien sztywnych czuję się trochę dziłki. Nie lubię się naginać do poziomu banalnych rozmów. Wole milczeć i przebywać jak dotąd na uboczu.

Gorzej, że znów przybliżyły się jakby armaty. Wczoraj, w niedzielę, huk tak się wzniósł, że mimowolnie zacząłem oglądać rower... Nie, za żadną cenę nie chce ich znowu oglądać — Niemców. Wyobrażam sobie, jakby tu gospodarzyli, choćby kilka dni. Pamiętam jeszcze ich oczy, rece, słowa. Zaś teraz, gdyby wpadli rozjuszeni, uirzeli leżące jeszcze gdzieś trupy żołnierzy, usłyszeli mściwe głoły potajonych tu owdzie folks-deutschów. Żołnierze sowieccy co prawda z komendantem nadal w gminie siedzą, ale oni mają w pogotowiu samochody, które często warczą w nocy. Pan Radeck także błądzi

zaniepokojony chodzą, choć odważnie milczy... Na szczęście odgłosy frontu oddalają się po gwałtownym nateżeniu, jakby piekielnej młotki... Jada w tamtym kierunku nowe sznury, obciążone armatami, sowieckich wojsk...

Nagle, prawie do dnia, spadła na nas nie spodzianka. Pan komendant przysłał po mnie i pana Radecka i oznajmił nam, że szkołę z dnem dzisiejszym przenosi do dworu. Budynek szkolny zajmie gmina, jako rozleglejszy, zaś dwór stoi pusty. Podwoły zajął niebawem, więc wszystko należy mieć gotowe — ławki, tablice, własne sprzęty.

Nie było co mówić — wyszliśmy w milczeniu. Pan Radeck służbiście wyprostowany, wyraził ochocz zgode... Co do mnie, byłem zasmucony. Taki słiczny widok miałem tu z okien — z pierwszego pietra na pagórki i rzekę. Tam w parku — dwór niemal niewidzialny i z niego pola. Nadto stary to już budynek, niby grobowiec, a szkoła nowa, co prawda przebudowana przez Niemców na urząd gminny. Na domiar ta przeprowadzka ponowna — w tydzień po wyprawieniu się z Bagienicy...

Udał się najpierw z panem Radeckiem obejrzeć z bliska ten dwór. Owszem, otoczenie piękne. Ołbrzymi na kształt boru park, trzy stawy polyskują niżej. Łączy je dołem płynący strumyk. Dwór nieco na wzgórk, parterowy, w nim cztery pokoje ogromne, kilka mniejszych. Puste są wszystkie, prócz jednego i strychu, zawalonego meblami. Zapach nadto jak w starym opuszczonym kościele — niedużo słońca, chłód... Sufity zadziwiająco wysokie, podobnie piec kafłowe — brak kuchni. Była kiedyś jedna w piwnicy. Te strony dworu wybrał sobie jednak na mieszkanie pan Radeck łącznie z żoną, która gdy ja milczałem w dalszym ciągu, kreciła na wszystko głośno nosem.

Ostatecznie — za doradą tymczasowego „administratora”, a byłego ogrodnika, pana Grzybka, który nas oprowadzał z kluczami w reku — ustaliśmy mniej więcej w ten sposób plan zajęcia dworu, stojącego frontem w stronę zachodnią. — Pan Radeck zajmie na mieszkanie południowo-wschodnią część budynku z klasą od zjazdu; ja wschodnią — północną — kuchnię i ołbrzymi pokój — z klasą także od strony ganku, by dzieci miały łatwiejsze wejście do szkoły. Ponieważ nie było piecyka w mej kuchni, pan Grzybek przyrzekł postarać się o żelazną „gotownię”, którą przystawiliśmy w końcu do kafłowego pieca. Gorzej, że wyjście stąd będzie miało wprost do klasy. Nie dało się urządzić ławek, zwłaszcza że państwo Radeckowie zajęli duży pokój na wprost holu, mniejszy na gabinecik pana Radecka i drugi na kuchnię, spiżarnię, nie mówiąc już o kuchni rzeczywistej na dole, do której zejście jest z ich obecnej kuchni.

Ponieważ nadeszły wkrótce podwoły, zaczęliśmy się przeprowadzać. Na szczęście dzień był słoneczny, gorący niemal, ludzie ze swych okolic, a więc chętni do pomocy. Chcieli pomagać także dzieci, nawet najmłodsze, ale kazaliśmy im w tym dniu iść do domu, a jutro już do „nowej” szkoły we dworze. Trochę się obawiam, że ucierpi od nich park.

Choć — już dużo uciepiał, jak widzę i to z przyczyny wójtów, mieszkających w oficynie tuż nad stawem. Oto zaczęli park uważać za porębę, a za wójtami — dworacy, może i ze wsi kto noża. Dość, że w parku pełno pieńków, a przed wójtami leży siaga zrabanych świerków. Pan Grzybek — zagabnięty przeze mnie w tej sprawie, wzruszył ramionami bezradny. Wogóle ma niewiele do gadania. Nawet ramy inspektowe „nieznani” sprawcy gdzieś wynieśli, zaś co się działo świeżo po ucieczce Niemców...

Umilkł na dobre — młody jeszcze i widać dość inteligentny. O piecyk się postarał, jak przyrzekł i już na nim siostra gotuje, tylko że początkowo ogromnie dymi. Chłodno tutaj i obco, mury gdzieś niedzie zaszły pleśnią, zaś słońce zagląda tylko do godziny dziesiątej, gdyż okna mieszkania wychodzą na wschód.

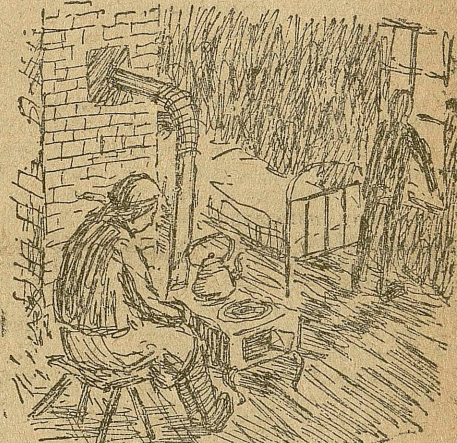
Co prawda to widok mam z nich dość ładny. Najpierw trochę gołej ziemi, gdzie pan Grzybek przygotowuje mimo wszystko inspektę, potem pojedynczy świerk srebrny, dalej niby tło, czarna jeszcze gestwa parku. Przy północnym oknie rośnie kasztan wspaniały i opodal szeroka sosna amerykańska

— wejmuta. Dalej na polance stoi wioska ła, ale pustych, gdyż podobno żołnierze po wkroczeniu wywieźli miód razem z pszczołami... Tak mówią miejscowi ludzie. Lecz czy także i im przy tej sposobności miodu trochę — razem z pszczołami — do rak się nie dostało?

Słowem — nie bardzo wesoło zapowiada się życie we dworze. Czy ja kiedy myślałem zresztą, że będę mieszkał w „pałacu”, jak ten zabytek parterowy zwa miejscowi ludzie. A jeszcze po p. Irzanowskim — słynnym na okolicie nieuczynku... Toć bronił chłopom ścieżki naprzeląd do gminy, wypasać krowy na rowie granicznym.

W związku z tym przypomniał mi się słyszana w dzieciństwie zabawna historia. Działek jeden, już na „wycugu”, pasał w ten sposób swoją krowę, a może trochę i w pałacu, gdy nikt nie widział. Otóż kiedyś pan go zeszedł? niespodzianie i zajął mu — krowę, bo krowa stała umknęła, znająca również pana. Wtedy co czyni nasz Pietacki? Oto woła za odchodzącym z kożuchem „dzieci” — Panie, bo w nim są wszyscy! — Dzieci na te słowa odrzuca kożuch, jak porażony... Taki to był podobno pan Irzanowski, właściciel Jarzebnickiego dworu. Gdzie on dzisiaj? Podobno zawiął się tu niedawno, obejmując wszystko i — odjechał — dokąd?

II
Niepostrzeżenie wkroczyliśmy w okres przedwiośenny — wielkotygodniowy. Bardzo lubię tę porę, zwłaszcza że dnie są słoneczne, jakie pamiętam z dzieciństwa. Drzewa, chociaż jeszcze czarne, już nawpół żywe, w rumianych paczkach i pratkach, niebo, szczególnie — porankami — szkło złociste, co dzień wynioślejsze. Słońce — roztopiony diament w platynowej obreczy. Radość wybuha zewsząd, jak wonie z ziemi. Roznoszą ją jeszcze ptaki, śmigając, gwiżdżąc jak oszale. Wiosna, wiosna! Życie nowe, nadzieje jakieś, rozpięające wszystko, nawet — wilgotne kamienie...



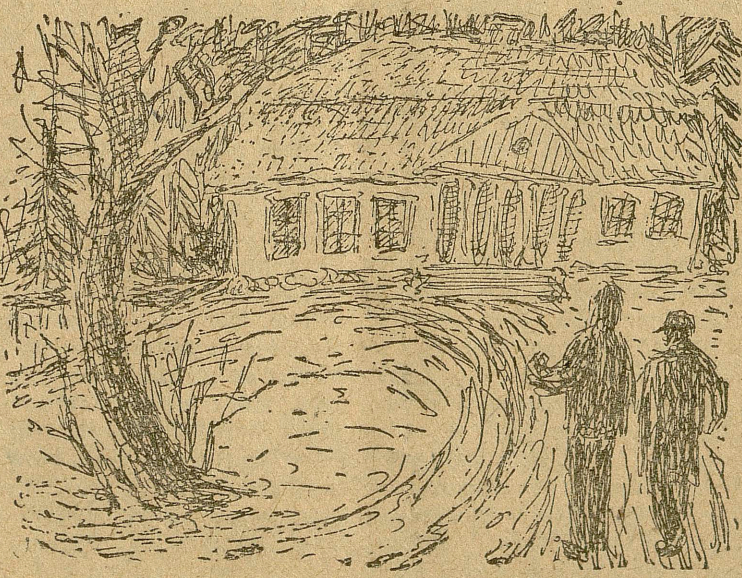
W wolnych chwilach nie mogę się dosyć nachodzić po parku, gdzie znam już każde drzewo, więcej — kołcham je — żywe na wiosne. Boli też mnie śmiertelnie, gdy widzę ścinających ich ludzi. Drga pod piłą lub uderzeniami siekiery wspaniały niby nadawca antena — świerk... Lata oblały go żywica jak roztopionym cukrem, pod którym niknie jego słowo rudy pień.

— Na co wam on potrzebny — pytam nieznanego mi ludzi, choć domyślam się, że to dworacy. Objaśnienia ich są niebardzo jasne. — Najpewniej drzewo idzie na ogień, choć widzę — zapasy opału leżą jeszcze przed czworakami. Ale — gdy nikt surowo pod doraźną karą nie zabrania — dlaczego nie ciąć? Przecież się na to lubowo. Można i w mieście drzewo pocięte sprzedać... W ten sposób miszka jedyny na okolicę „las” — o zdołę rodzinnej wsi.

Spotykam też na przechadzkach porannych w parku nadeszły wcześniej do szkoły dziewczyny — te najstarsze, jak Krecikówny — pamięny już szesnastoletnie, gdyż i podobne przyjeżdżamy dla uzupełnienia nauki. Owe uławszy się pod rece, chodzą beztrudno i — spotkawszy nauczyciela — milczą z uśmiechem, dowcipnymi mimami. Nie pozdrawiają nawet pana Radecka, jak zawnążyłem, a nam gładko trochę pozdrawiać pierwszym na sze uczennice. Ale mniejsza o to... Do zabiegów o ich względy się nie umiemy, szczególnie — ja, gdyż to nie moja klasa. Najwyżej, gdy pana Radecka czasem zastępuje — osobiście mi zwracać się do nich, także do chłopów dryblasów, którzy choć błędy okropne w dyktandzie robią — spoglądają na nas — nauczycieli — z góry... Czemu to przypisać — głupocie czy wojnie? Brakowi wpływu rodziców, wychowania? Naogół — smutne.

Pociesza mnie widok młodszych dzieci — dwu moich klas — pierwszej i drugiej. Dziwne, ale znajduję w każdym, szczególnie w chłopcach, potrosze siebie — z lat dzieciństwa. Ta sama żywotność, otwartość, skłonność do uczynków i — kłamstwa. Słowem — do złego i dobrego. O co ich poprosić — wszystkoby zrobili dla nauczyciela, gdyby było w ich mocy. Przylapali na kłamstwie, drobnych przestępstwach — choć z rumieńcem — najbardziej się wykrecają, zwalając winę na drugich, patrząc śmiało w oczy... Niekłórzliw milczą upornie. Ci są naigorszy. Wole już żywićłowych — w dobrym czy złym.

Ponieważ o pensji jeszcze nie nie słysząc, a wszędzie nauczyciele tak robią, ogłosiłem w klasie dzieciom, by coś na Wielkanoc nauczycielowi przyniosły. Upokarzające to, ale co robić i z czego żyć, gdy zapasy przywiezione



Henryk Syska

JAKUB BOJKO

z miasta się kończą? Radezak co prawda wyrzekł się tej „daminy”. Ja nie mogę sobie na to pozwolić — nie mam zamożnej, bliskiej rodziny w okolicy. Dzieci więc znoszą po trochu — przeważnie makę, zwykle żytnią, po parę jajek. Dowcipnie się urządził Zygmunt Barański. Otóż — nie wiem, czy to dla mnie — zeszedł po lekcji do piwnicy pani Radezakowej, gdzie tej kury niosła i został tam przyłapanym na wybieraniu jajek... Wyszledek go na tym Jurek Radezak — najstarszy syn kiero-wnika, chłopak dwunastoletni — biegły i sprytny, choć przebiegłości nie braknie i jego młodszemu bratu, Jasiowi. Jest on nawet w mojej klasie — pyzaty zarozumialec, z bu-zi podobny do matki. Otóż pani Radezakowa wyprowadziła z kradzieży wniosek, że nape-wno owe jajka usiłował Zygmunt zabrać dla mnie, choć jego koleżdy inaczej twierdzą — że on bierze wszystko, co mu się nawinie pod rękę.

W związku z tym przyszła nazajutrz jego matka i kazała walić synka, gdyż jajka dla mnie już mu trzy dała wczoraj. Zapytany o to Zygmunt, uśmiecha się beznamiętnie i gra głupiego. Muszę na niego zwrócić większą uwagę i nie pozostawiać go do mieszkania swo-rodnie jak dotąd. W każdym razie niemile zdarzenie.

Niemila jest i pani Radezakowa ze swoim niezbytym przekonaniem, że dla mnie kradł. W ogóle — chodząca to wyrocznia, mówiąca ze zniszczonym namaszczeniem. Zaprzysię-żnia się ogromnie z wójtową — drugą, ob-szerną jak ona prosiuchą. Razem pieka cia-sto na święta. Nie podoba mi się i to, że do nas często zachodzi — pani Radezakowa. Sio-stra gaduła jak wszystkie niemal kobiety, a ja nie lubię, wszyscy wszyscy wiedzą o ży-ciu w domu, szczegóły o rodzinie. Przewidu-je, że wynikną stąd plotki, kłótnie nawet, lecz jak zabronić żonie kierownika, by nie przy-chodziła do nas pod byle pozorem, a często i bez powodu? Najczęściej mówią o wójtach, którzy służąca — volksdeutsche — traktują niby kuzynkę, zwłaszcza wójt. Jest to jesz-cze niestara panna — Ela. (Przewiduję, że wójtowa długo tego nie ścierpi — względów wójtów dla panny Eli). A to, że dzieci ich nie chrzczono, wójt przed wojną należał do Ba-daczy Pisma Świętego, obecnie także do ko-ścioła nie chodzi, lubi zabawić się, wypić przy sposobności.

Ostreca mi wszystko od pani Radeza-kowej i od siostry, ale co zrobić? Baba z babą zawsze się zetknie, choćby przy studni i wtedy gadu gadu, moja pani — moja pani...

Co prawda — widzę — wójtowie to prawie cygańska rodzina. Mniejsza o dzieci niemal równe wzrostem — co rok to prorok — i aż siedmiu — porządek u nich w mieszkaniu jak w cygańskiej szatrze. Dzieci z odpiętymi tyłkami zamorusane biegają, wójtowa — te-ża i niska z kwaśną choć jeszcze młoda twarzą, z najmłodszym przy pierśi rozpięta chodzą — wiecznie niezadowolona. Jedna pan-na Ela robi wrażenie opanowanej i coś czy-niającej, chociaż z Niemką i według mnie nie miła — ciemna na twarzy jak Cyganka. Bądź co bądź nie chciałbym znajdować się w sko-rze wójty, bo i w gminie ze strony kome-danta słuchać musi często przykrych słów, ale i w domu stałe od żony wymówki, preten-sje, że w domu mało bywa, wraca pijany z wizyt urzędowych, spogląda na pannę Ele... Co prawda — wójt mnie osobiście wydaje się niezaradny, zbyt uległy pokusom — kielszko-wi, kobietom. Za dzielniejszego z oddalenia go miałem. W ogóle — wszystko traci po bliższym poznaniu. Na prawdę to męka w tych warunkach.

Wracając do wójtów, to mam wrażenie, że wybuchnie kiedys u nich awantura. Panna Ela będzie prochem, zapalka — pani Radezakowa, może siostra moja. Niepokoje się naprzód o to i jak mogę zapobiegam — gadulstwa sio-stry, wizytom u nas pani Radezakowej. W do-mu u wójtów jedynie ich najstarsza córka — panna Miła jest miła — piętnastoletni, bia-ły na twarzy sympatyczny króliczek... Ale to dziecko jeszcze — nalwne, „prosiutkie”, choć niebrzydkie i dość pracowite. Ha, zobaczymy, jak to będzie spłacać się dalej. Grunt, że tymczasem nadchodzi święta Wielkanoc-ne, pogoda nadal złośliwa, diamentowa, zwi-aszca w południe, kwitną trzciny puszysto na stawie i „palmy” czerwone przy nim... Armaty grają coraz dalej, choć często w no-cy wybliskują rakiety gdzieś w zachodniej stronie, samoloty dudnią całe noce. Zbliża się widać wielkie uderzenie — chyba ostatnie? Czas już najwyższy, by nastał spokój razem z wiosną. Do nauki nie bardzo to pomaga — ciągłe pomruki z nad Odry. Mru i mru. Jakże pożądana jest majowa, pogodna cicha noc. Z księżycem będzie tu pięknie, ze słowkami, stawem opodal... Przyzwyczailam się już do dworu, dzięki parkowi i żebym nie ludzie nie zbyt ludzcy dokoła... Co prawda, mało mi jeszcze znana sama wieś, ciągnąca się ku ła-kom na uboczu. Ale muszę kiedy zająć choć-ty do Linkasa. Z pierwszeństwa rozmowy, jak i z twarzy śmiały, spodobał mi się ten młody gospodarz. Z niego sadzę — wójt byłby niezły, bo dotychczasowy to „glapa” i słusznie wysłucha często niezbyt przyjemnych kom-plementów komendanta, interesantów gmin-nych. Ha, nastąpić zawsze może, chyba by nie miał ambicji i naprawdę polubił te „miejrze-dowe” przy pełnieniu obowiązków urzędo-wych przyjeźdzą, śmieszna w obecnych wa-runkach władze lokalna, podobnie tytuł...

Strasznie mi pomyśleć, że za tym wałem na zachodzie znajduje się moja Hania. Czy nie zaginie teraz w coraz mniejszym kotle, jeżeli żyje dotąd, mimo bombardowania miasteczek i wsi? Kiedy ją zobaczę? Myślę, że najpóźniej w końcu lata będzie już po wojnie i wówczas... Czym zapłacić owe go-dziny czekania? Chyba na ryby będę cho-dził, jak w pierwszej młodości — do rzeki stał dwa kilometry, a i stawy w parku już jaśnieją białą wodą pod złotawymi płaczą-cymi wierzbami.

„W roku 1944, w czasie największego na-silenia wojennego, zmarł we wsi Gręboszo-wie w 87 roku życia Jakub Bojko, chłop samouk, głośny działacz polityczny i pa-rlamentarny, przedstawiciel włościanstwa polskiego, mówca z Bożej łaski i znakomi-ty pisarz, wychowawca paru pokoleń chłop skich polityków”.

Takimi słowami rozpoczyna krótkie wspom-nienia pośmiertne „Przyjaciel Ludu” kra-kowski organ Stronnictwa Ludowego, któ-ry po kilku latach przerwy rozpoczął w dalszym ciągu swoją chlubną działalność.

W historii ruchu ludowego obok całego szeregu wybitnych jednostek wyrosłych na-tle przeobrażeń społeczno - politycznych wsi w drugiej połowie 19 wieku, postać Ja-kuba Bojki zaliczyć należy bezsprzecznie do najbardziej zasłużonych. Wyrastał na miarę krajową w okresie, kiedy wieś gali-cyjska przeżywała najbardziej katastrofal-ne chwile. Nadmiar karłowatych gospo-darstw, nieuporządkowanych należycie po przeprowadzonym uwłaszczeniu, brak moż-liwości zarobkowych mazewnątr, koniecz-nych do pokrycia niedoboru budżetowego zubożałych rodzin, sprawiły, że ówczesna wieś małopolska zepchnięta została na dno skrajnej, przysłowiowej „nędzy galicyj-skiej”.

Upiór głodu i niedostatku nie ominął także domostwa Kuby. „W domu — opo-wiada dalej — nie było co jeść, zarobić nie było gdzie i nie miał kto, a do jadła było nas sześć zdrowych ludzi. Często gęsto szło się spać po „krzyżowej kaszy” (znak krzy-ża po pacierzu).

Nie z nadmiaru więc rozkoszy przyszło 15-to letniemu chłopcu opuścić progi ro-dzinne w poszukiwaniu za chlebem. Przy-stał na służbę do zamożnego sąsiada. Ale nie długo zagrażał tam miejsce. Gdy zetknął się z flisakami spiawiającymi drzewo Wi-słą bez wahania przystąpił do współpracy. Tym sposobem miał możliwość do pozna-nia rozległego szmatu polskiej ziemi, jej piękna, od Krakowa aż do Gdańska, prze-życia wielu przygód, które w późniejszym czasie znalazły swój oddźwięk w broszu-rze „Pod trzeciego króla”. Godziny wolne od obowiązków poświęcał samokształceniu. Wprawdzie uczęszczał za lat dziecięcych do szkółki gromadzkiej, której data powsta-nia sięga roku 1844, ale szczupły program jaki podówczas obowiązywał, nie był w sta-nie zaspokoić istotnych potrzeb młodzieńca, którego jedynie upór, praca i wytrwałość wyniosły na męską krajową miarę.

Punktem szczegółowych jego zaintereso-wań była historia narodu.

Z zapalem „wartował dawne księgi i re-jestry u wójty, proboszcza, czy we dwor-ze”, a szybkie postępy i opanowanie przed-miotu „pozwoili mu zostać niezadługo do-morosłym nauczycielem wiejskim”. Trud-ności w zdobywaniu wiedzy miał bardzo duże. Nie było wówczas dostępnych dla szerokiego ogółu czytelni. Należało być do-brym szperaczem, by wynaleść tę nieodzow-ną dla światłego człowieka pożywkę inte-lektualną. W jednym ze swoich wspomnień ujawnia Bojko jak to musiał nachodzić się za „Panem Tadeuszem” zanim wreszcie go zdobył ku wielkiej radości. Kiedy zwrócił się z prośbą do miejscowego księdza, łaska-wy dobrodziej odpalił mu, że książka „jest za droga i nie dla chłopów”. A gdy ją wresz-cie do rąk swoich dostał, nie mógł oczu oderwać od tych strof wspaniałych, które tak pięknie sławiły ojczyste zwyczaje i przyrodę. Zachwycił się szczególnie, że u Mickiewicza „żadne żaby nie grają tak cu-dnie jak polskie”.

Studia jego prowadzone przy lampce ku-chennej były mimo domowego prymitywu dosyć gruntowne, czytanie szerokie. Wy-starczyło sięgnąć po pierwszy lepszy artykuł opowiadanie czy też przemówienie, a znaj-dziemy w nich tyle dynamiki, dowcipu, konceptów, przytoczonych anegdot i cyta-tów, które potrafił „przy lada sposobności znaleźć w rozległym sąsieku swej pamięci”. Dał się też poznać społeczeństwu jako pi-sarz doskonały. Talent swój ujawnił jako publicysta na łamach wychodzących pism ludowych. Drukował więc prace w „Cha-cie”, w „Pszczółce”, a od roku 1891 zago-spodarował się na dobre w „Przyjacielu Lu-du”, skąd przeszedł do „Piasta” — poczym do „Chłopa Polskiego i Gospodarza Polskiego”. „Współpracował przy tym w Nowej Refor-mie, Kurjerze Lwowskim, Zaraniu i in.”

Wypowiedzi jego stały się sławne i poczyt-ne. Trafiały bowiem zarówno do rozsądku jak i uczucia. Na tle tych głosów rozrzuco-nych przez Bojkę po czasopiśmie, jako też i ustnej wypowiedzi na zjazdach i ze-braniach kwalifikują go biografowie i sta-wiają na równi z mężami nawołującymi w XVI stuleciu do Naprawy Rzeczypospoli-tej. „Gdyby mi przyszło — pisał Włady-sław Orkan w przedmowie do Wyboru Pism i Mów — Najbardziej przez porów-nanie koreszlić Jakuba Bojkę, nazwałbym go Chłopskim Skargą”. Przegląd Wszech-polski 1900—2 w artykule autora kryjące-go się pod pseudo W. B. dochodzi do wnio-sku, że: „talent opisowy, to samo proste uczucie nasuwa podobieństwo „naszego sejmku z XVI i XVII wieku i naszych wie-ców chłopskich ze schyłku w. XIX.

Karjera polityczna Jakuba Bojki rozpo-częła się w roku 1895. Lata poprzednie wprowadzały go na coraz to wyższe schod-ki hierarchii społecznej. Polskie Towarzy-stwo Demokratyczne - Ludowe założone w 1894 roku przekształciło się w roku nastę-pnym na Polskie Stronnictwo Ludowe. By-ła to pierwsza właściwa reprezentacja roz-wijającego się coraz bardziej w latach na-stępnych Ruchu Ludowego.

W jednym z numerów „Przyjaciela Ludu” pisał Bolesław Wyslouh: „program nasz musi być ludowym, bo po pierwsze; chce tego etyka społeczna, która interesu mas ludowych za cel w działaniu społecznym uznaje. Bo powtóre: ...wówczas tylko wy-zwolą się siły uwięzione mas ludowych, któ-re podejdą energicznie i świadomie prace nad rozwiązaniem problemów społecznego postępu... po trzecim... w tym właśnie wi-dzimy ideowe pogodzenie naszych ideałów narodowych z ogólnym, demokratycznym ideałem wszechludzkim”. Takie wytyczne znalazły w Bojce gorącego wyznawcę. Czas wykazał, że był on nietylko pisarzem z urodzenia, ale dobrym politykiem z działaniem „i to nie z przypadku, ale również z predyspozycji i temperamentu”. Przekony-wający mówca, dzielny obrońca słusznej sprawy szybko zdobywa sobie chłopskie serca. Nic też dziwnego, że wynikiem kam-panii wyborczej wraz z sześciu przedsta-wicielami grupy Wysloucha przechodzi jako poseł z dąbrowskiego okręgu.

Bracia szlachta nie chętnie widziała na-ławach parlamentarnych wyzwolone siły chłopskie. Na każdym też kroku rzucano pod ich adresem uszczypliwe docinki. Z Bojki naprzykład „natrzęsali się, że był ży-dowskim pastuchem”. Pocziwy Kuba jed-nak nie dawał się wygrać. Zarówno jak pióro ostry miał i wytrwały język. W mo-nografiach o pisarzach ludowych podaje dr. Karol Koniński bardzo ciekawą reminis-cencję z odprawy jaka dostała się z ust Bojki jednemu z konserwatywnych posłów. Kiedy ten ostatni rzucił pytanie: „czy to prawda, żeś poseł dawniej był do pasa?” — odpowiedział Bojko — tak jest, ale dzięki Panu Bogu żeś pan był do pasa. A to dlaczego? „A bo byś pan jeszcze do dziś pasał”. „Na jednym z posiedzeń sejm-owych — pisze dalej cytowany autor — Bo-jko rozgoryczony stałym odrzucaniem wnio-sków ludowców przemówił: „panowie wszystkie nasze wnioski odrzucacie i żeby-śmy postawili wniosek o odbudowę Polski to byście go odrzucili jedynie dlatego, że od chłopów wyszedł”. Echo tej wypowiedzi było takie, że poseł Jordan rzucił pod adre-sem Bojki słowo „bydlę”, marszałek Bade-ni lży ocierał, a „nawet prezes klubu lu-dowców Bernardzikowski z placzem wyparł się Bojki”.

Praca dla ludu i wśród ludu była ciężka i czasem niewdzięczna. Jeżeli dziś mamy na tym odcinku rozliczne trudności, to ła-two nam pojąć ich rozmiar przed pół wie-kiem. Duszono przez całe stulecie ciężarem uległości masy chłopskie nie zdołały w so-bie rozbudzić poczucia własnej godności w takim tempie jakiego wymagał ich własny interes. Niski poziom oświaty, niedostatek materialny, patronat opiekuńczy dworu a zwłaszcza plebanii stanowiły istotny pan-cerz, który krępował rozwój postępowej myśli chłopskiej. Na podłożu coraz bardziej rozwijających się konfliktów, które z po-czątkowych form ewolucyjnych przeszły w ostre antagonizmy, zrodziła się w formie broszury naczelną rozprawa Bojki p. t. „Dwie dusze”. Obrazuje w niej autor dwa przeciwstawne oblicza chłopskiego samopo-

czucia. Jedno z nich korzeniami tkwi jesz-cze wyraźnie w niewolniczej tradycji pań-szczyźnianej uległości, druga zaś cząstka pragnie się wyrwać z tych siideł, by postą-pić krok naprzód, zgodnie z panującymi prądami epoki. Bojko jest prawdomówny. Kolcem tego dotkliwego paszkwilu dotyka również własnej osoby. Czuje, że i jego nie opuściła całkowicie zmora feudalnych prze-sądów. Przyznaje otwarcie, że i jego druga dusza pańszczyźniana „dotąd całkiem nie opuściła”. Twierdzi jednak z całą stanow-czością: „da Bóg, że się pozbędę tej po-twory”. Jeden jest niezawodny środek za-pobiegawczy przeciwko tej duszy „starej brzydkiej pani”, której „ciało od 55-ciu lat gnije” (pisał to w roku 1904). Środek ten — to oświata. Dusza ta bowiem „nie boi się ani wody święconej, ani krzyża, jeno naj-bardziej boi się książki i gazety”. Jest w tej książeczce cały szereg momentów doty-czących stanowiska „naszego duchowień-stwa. Pomimo, że składa się on ze zdecy-dowanej przewagi synów chłopskich, nie-chlubną rolę odgrywa wobec macierzyste-go środowiska. A głos jego padł w chwili najbardziej tego potrzebującej. Był to okres nieubłaganej walki, jaką wydał lu-dowcom dumny książkościół rzymski, smutnej pamięci kardynał Puzyna. Dziel-nie sekundował mu jego Ekscelencja bi-skup tarnowski Wałęga, znany ze swego li-stu pasterskiego przeciwko ruchowi ludo-wemu.

W dwa lata po dokonaniu pierwszego wyboru przypadł w udziale Bojce nowy niemniej obiecujący zaszczyt. Fortuna uśmiechnęła mu się tak dalece, że nazna-czono go posłem do parlamentu wiedeń-skiego. Na tej placówce centralnej prze-trwał chłopski trybun do ostatniej chwili, tzn. aż do czasu załamania się monarsze-go dworu 1918 roku. Za to bardziej przykra niespodzianka wynikła z sejmem krajo-wym. Nastąpiło pamiętne głosowanie 1909 roku. Jak tam było z uczciwością nad urną trudno wydać bezsporne sądy. Faktem jed-nak się stało, że Jakub Bojko jako kandy-dat z chłopskiego obwodu przepadł. Strata jednak została automatycznie powetowana. Wbrew wszelkim oczekiwaniom i zawie-dzionym nadziejom zostaje Bojko człon-kiem parlamentu decyzją obywateli miasta Lwowa.

„Była to wspaniała manifestacja demo-kratycznego mieszczaństwa lwowskiego — kreśli Przyjaciel Ludu — do której dołą-czyła się niebawem druga w Szwajcarii, gdzie Polacy wybrali Bojkę członkiem Ra-dy Muzealnej w Rapperswilu”.

Głos Jakuba Bojki podniesiony w imię postulatów chłopu polskiego niejednokrot-nie przyczyniał się do rozstrzygnięcia spra-wy. Wystarczy przywołać do pamięci burz-liwą sesję, jaka odbyła się na jednym z plenum 1899 roku. Poseł Kramarczyk przedłożył mianowicie wniosek domagają-cy się ściśnienia kwalifikacji nauczyciel-skich i powierzenia tej roli duchowieństwu. Wokół takiego dezyderatu rozpętała się za-wierucha. Sęła zwycięstwa przechylała się chwilami to na tą, to na tamą stronę. Wreszcie w momencie kiedy pozycja lu-dowców poważnie się zachwiała, zabrał głos Jakub Bojko, który — (powtarzając za Witosem) „w świetnej przemowie zdruzgo-tał na miazgę owego potwora wymysłu po-sła Kramarczyka”.

Na kilka lat przed pierwszą wojną świa-tową zarysowały się w Polskim Stronnict-wie Ludowym wyraźne rozbieżności ideo-we, które w końcu doprowadzić musiały do rozłamu. Nastąpiło to w roku 1913. Część klubu poselskiego ze Stapińskim na czele utworzyła tzw. „P.St.L.—Lewica”, grupa zaś pozostająca pod wpływami Wincentego Witosa, skoncentrowała się wokół tygod-nika „Piast”, którego pierwszym redaktorem mianowany został Jakub Bojko. Z ży-cia politycznego nie wycofuje się również mimo podeszłego wieku w okresie dwu-dziestolecia niepodległości. Widzimy go na liście poselskiej, figuruje w rejestrze sena-torów, zajmuje na przemian wysokie god-ności jako wicemarszałek sejmiku i senatu Rzeczypospolitej.

Mimo wszystkie zalety był zawzięcie prześladowany zarówno ze strony ducho-wieństwa jak i władz rządowych, a ponad-to poniewierany przez oświeconych zachowawców”.

Stefan Stanisław Gębala

O DOMU LUDOWYM

Zapada wieczór; zajęcia przy gospodarstwie — sieczka i drwa — bo cóż tam może być więcej, skończone i zaczyna się nuda długiego i zimowego wieczoru... Tak jest we wszystkich wsiach, tylko może nie we wszystkich jest tak silny, jakiś instynkt gromadzki, który — w tych wsiach z nad Sanu przedłuża te wieczory w długie i pełne gadaniny wieczorki, kominki, i inne różnie nazywane „posiady”... Znużone dniem i jego monotonią czelczyko wiejskie bez względu na wiek i płeć i bez względu na pogodę porzuca spokój zacisznej izby garnąc się do uprzejmego sąsiada, gdzie i izba większa i dojście łatwiejsze.

Szczególnie źle się czuje młodzież, co cóż tam ma do szukania między gospodarzami i ich gospodarskimi obgadywaniami swych spraw — co mówić tu o sieczce i krowach przed chwilą odszedłszy? To właśnie wyludnia chaty z młodzieży. Zaludnia się jedna izba Domu Ludowego, a wszystko, co się tam mieści i dzieje, nosi nazwę Czytelnia i żadna siła, jak dotychczas nie może jej przekształcić na Świetlicę, bo ta nazwa przyjęła się i trwa od pięćdziesięciu blisko lat.

Nieco z dziejów... Blisko pięćdziesiąt lat temu taką nazwę tej instytucji nadał studencki koło T.S.L. z Krakowa, w czasie kiedy na miejscu tego budynku stała bankrutująca, stara karczma... Wtedy trudności były większe niż istniejące dziś. Dziś nie wyszukuje się izby do wynajęcia, a wiadomo, że wyszukiwanie jest trudniejsze i uciążliwsze od samego wynajmowania, nie ma już zwyczajowej i rytualnej niemal powitalnej pogwarki z gospodarzem, droga wiedzie prosto ku jarzącym światłami oknom i drzwiom, gdzie nie ma zaafrowanego gości gospodarza, a tylko dyżurny, który już dawno uprzątnął jako tako izbę, napalił w piecu i zaświecił.

Jesienią, kiedy już są te wieczory ziewające rudawym światłem w okienkach i mručeniem kota na przypiecku, zbiera się gromada w tej Czytelni, gdzie jeszcze wieje pustką i zapomnieniem, gdzie wielu rzeczy brak, lub wydaje się, że czegoś zbywa, zbiera się gromada młodych i starych, po prostu zainteresowanych i rada rozpoczyna się od narzekania na braki i niedomagania, na opuszczenie i zaniedbania, aż wreszcie jakiś głos przerywa gwar.

— No! Trzeba to jakoś zrobić!

— No to róbmy — i robi się.

Kto powołany do tego albo i niepowołany, a zniecierpliwiony przyduższym, a bezowocnym gadaniem przewodniczy...

Dawniej, kiedy mieli tu do gadania studenci T.S.L., to samo odbywało się z ceremonialnym zaganiem pełnym słów o Polsce, Ojczyźnie, chłopskich prawach i oświeceniu, podczas gdy chodzili o tak zwykłą i codzienną sprawę spędzenia wieczorów wśród ludzi, przeczytanie gazety, itd. Student T.S.L. na dodatek oddawał tę czytelnię pod opiekę i patronat nauczyciela, który znowu na skutek tego nabierał prawa do wygłaszania frazesów patriotycznych i moralizatorskich.

Wystąpienia te uszytywały atmosferę, ciążyły i prawie że przeszkadzały, nie ma jednak złego, któreby na dobre nie wyszło. Tak przyszły zle jedne i drugie wybory, które w niepodległej Polsce postawiły nauczycieli poza nawiasem wiejskiego społeczeństwa, albo przed nim, jeśli ktoś tak woli...

Ustały pompacyjne przemówienia pełne frazesów o czymś nierealnym, jak ta „mocarstwowość” Polski, przez co i Czytelnia wyżyła się sztywności i stała się bardziej jeszcze swojska, codziennie potrzebna...

Na codzień: Chodzi więc o ten wolny czas, swobodniejszą rozmowę, o bliskość ludzi i o wszystko, czego domaga się ten t. zw. instynkt gromadzki, ten sam, który ludziom w mieście czyni potrzebnymi kluby, czytelnie, a potrosze i kawiarnie i bary.

O zmierzchu już gwarno. Gazeta, jak zwykle spóźniona o tydzień czy więcej nadeszła wreszcie, czasem chyba w dzień targowy nowsza rozkładana i rozbiierana na kartki chodzi od stołu do stołu, by użyć się wreszcie, ale i dać temat do całonocnej i gwałtownej nieraz dyskusji. Nim jednak dokonano wyboru tej gazety, dyskusja była o wiele gwałtowniejsza. Jednym, starszym wiekiem zachęcało się fachowych rolniczych pism, na co usłyszeli wiele doświadczonej uwagi o zastosowaniu fachowej pracy w takim a takim gospodarstwie, innym znów podoba się technika, ilustracja i w ogóle pisma nie wspólne nie mające z plugiem, brona, cepami...

Mamy tego dość cały dzień i cały rok,

a wy gospodarze, możecie się zdobyć na swoją gazetę. Tylko co do jednego następuje ogólna zgoda: trzeba skwapliwie unikać gazet, które prenumerowało się ubiegłego roku... Bo to płaci się za trzy miesiące, a przysyłają przez pół roku. Nikt należności nie dopłaca, gotowi więc „oberwać” znowu kwoty za zaległość. Inne kwestie powstają przy próbach przyłączenia Czytelni do którejś z organizacji. Do Samopomocy nie da się, do Wici także nie, bo w pierwszej z nich są starzy, w drugiej zaś młodzi; tu zaś są jedni i drudzy.

Stale spory wywołuje kwestia miotły i krzesła zabranych przez Czytelnię z kancelarii gromadzkiej, a kończą się one zwycięstwem wystąpieniem dyżurnego, który zapewnia sołtysa, że tu nie jedna jeszcze miotła się zedrze i że my a gromada to jedno. To samo dotyczy i samego budynku Domu Ludowego. Chodzi o prawa własności, dziś jednak sprawę upraszcza się nie zagłębiając się w zawilosci hipotek i katastru, a orzeka się po prostu, że dom jest nasz bez względu na to, do kogo należy tytuł własności.

WYSILKI KU UNOWOCZESNIENIU

Dziś nie znamy nazwy czytelni, bo w użycie weszła świetlica. Sama nazwa ma podkreślać swojskość tej instytucji, tymczasem słowo świetlica jest na wsiach zrozumiałe, lecz nowe. Te chałupy, gdzie na ich miejscu stoją już kilkoizbowe domy nie miały świetlicy, miały izbę mieszkalną, komorę i olbrzymią sien na przestrzal.

W celu unowocześnienia czytelni, namówiono jednego z młodych do odbycia kursu kierowników świetlicowych... Pojechał i zaczął z miejsca — Urządzimy zabawę świetlicową.

— A na co? — pada naiwne, lecz odstraszające od wszelkich prób w tym kierunku pytanie.

Kierownik rezygnując z inowacji i z czytelni, nie zastyga w bezczynności, urządza przedstawienie. Dużo kłopotu sprawia wybór sztuki, bo jak wiadomo, „chłopi artystokraci” na „Żyda w beczce” nie pójdą. Czytelnia staje się między innymi poczekalniami dla zespołu amatorskiego, ożywają się rozmowy i śmiechy, bo przychodzi przecież aktorki. Matki ich traktują sprawę bardzo poważnie, wyprawiają swe córki na te próby, odświętnie odziane, nie ma jednak w tym nic dla nich nowego, bo już kilka lat temu, same chodźły próbować swych sił i talentu scenicznego. Jedną nową rzecz wprowadza kierownik świetlicowy: to inscenizacja pieśni ludowych. Są one nowością w każdym calu. Nowością są teksty tych piosenek ludowych, nowością jest także pantomina, rzecz niesłychana i niewidywana tu w centrum ludowości, w rodzinnych stronach Kurasia, Stomki, Wiktora, Piętaka...

Jedną jednak rzecz wymaga koniecznie unowocześnienia: to biblioteka. Zwykle czarna szafka zawiera do dwustu książek bez doboru, z różnych czasów i w ogóle są to naiwności... Są tu „Dzieje świętej inkwizycji” i „Katechizm katolicki”, dar księdza proboszcza. I w ogóle: wszystko to dary. Najstarsze z nich to podarunki akademickiego Koła T. S. L. dzieła Ródniewiczówny i Sienkiewiczowskiej „Trylogia”. Poza tym broszury agitacyjne różnych stronnictw sprzed pierwszej wojny światowej, z czasów rozłamów w Ruchu Ludowym. Kilka różnych bardzo jakości i wielkimi powieści dopełnia całości tego kompletu.

Poza tym nie ma zwyczajnie kupowania książek, tak jak nie było zwyczajnie posyłania dzieci do szkoły latem, jak nie było zwyczajnie budowania komina w chacie itd. Przymusy, które wprowadziły te zwyczaje, błogosławione są... Takim też będzie przyśm, bez względu na to, jaką będzie miały formę, czy to będzie w formie „książkowego”, który będzie przymusowym dodatkiem do każdej ilości wyrobów monopolu spirytusowego, konsumowanego w dniu jar marczny i uroczyste, czy też jakkolwiek inną będzie miał formę, błogosławionym także będzie. Bo oto te dziewczęta szukające w bibliotece „Wierszyków” wpatrują się całymi wieczorami w książki obce im i obojętne dotychczas...

Bo młodzi ludzie potrafią w ciągu kilku dni przerzucić tę tzw. bibliotekę, zapoznać się z historią Ruchu Ludowego w pierwszym dziesięciu lat bieżącego stulecia, a współczesność poznają z kalendarza przygodnie nabytego, albo przyniesionego do domu przez domokrążcę.

W czym sens? Chodzi o to, że nie wszędzie trzeba zaczynać od nowa. Trzeba także wziąć pod uwagę to, co już jest i co stało się już zwyczajem.

Józef Pogan

SMUTNA RZECZYWISTOŚĆ

Bezustanna praca przy stoliku męczy człowieka, a nawet i przynębia. Postanowiłem więc wyjechać na parę dni do Krakowa odwiedzić przyjaciół i znajomych, porozmawiać z nimi na aktualne tematy, choćby tylko dla porównania poglądów tamtejszych ludzi ze śląskimi. Straconych dni na tę „eskapadę” wcale nie żałuję, choć niezbyt miłe zaobserwowałem tam fakty.

Już w pierwszym domu moich przyjaciół — usłyszałem od służącej słowa, które ostrym świdrem zawierciły mi w mózgu. Było to już po kolacji. Wszedłem do kuchni, by porozmawiać z Zosią. Opowiadała jej o swym życiu, o Śląsku, ona zaś o sobie i różnych nam znajomych. Jest smutna i przynębia. A no starzeje się i zapewne martwi, że już nie wyjdzie za mąż i do śmierci musi pańskie wycierać progi.

— Miałam narzeczonego — mówi — ale był tak samo biedny jak i ja. Może bym i wyszła za niego, ale on chciał jechać ze mną na Zachód, a ja się bałam.

— Czego? — pytam zdziwiony. — Jedź, Zosiu, jak tylko masz z kim i wyzwól się z nieszczęśliwej roli służącej — radzę jej życzliwie. — Już piętnaście lat pracujesz w jednym miejscu.

Zosia wyciera oczy chusteczką. — Wiedzie Pogan, pojadę na Zachód, ale po wojnie — mówi zasmucona.

Wytrzeszczyłem oczy z ogromnego zdziwienia i cały zamieniłem się w słuch. — Zosiu, jak ty powiedziałaś? — pytam.

— No, że na Zachód pojadę po wojnie.

— Boże! — westchnąłem — jakżeż wpływ chlebodawców Zosi zaciążył nad nią. Jej słowa „po wojnie” oznaczają dobitnie: „Moje państwo są wielkimi przeciwnikami obecnego ustroju demokratycznego”.

Po chwili przyszła Stasia, przyjaciółka Zosi, też długoletnia służąca w jednym domu. „Odrobiła” się już i przyszła chwilkę na pogawiedkę. Jest wesoła, bo mąż jej wrócił przed miesiącem z zagranicy. On chce jechać na Zachód, ale Stasia się boi czegoś i nie słucha męża. Może później pojedzie, ale na razie woli służyć. A jej Płetek jak sześć lat przecierpiał w niewoli — to jeszcze pół roku, a nawet cały przecierpić będzie. A później jak się już wszystko uporządkuje — zabiorą się oboje do życia „na całą parę”.

Rozmawiałem z nimi przeszło godzinę i tłumaczyłem po swojemu. Przekonałem je nieco. A gdy położyłem się w łóżku — długo nie mogłem usnąć. Rozmyślałem o doli Zosi i Stasi, która w sierocym życiu nie mniej ode mnie ucierpiała nędzą.

Nazajutrz odwiedziłem krewnego. W Krakowie pracuje już od roku. Nie chwali sobie zbyt, lecz wcale nie narzeka. Pracuje i żyje skromnie. Lepiej, niż przed wojną, bo wtedy nie miał pracy. Pytam go szczegółowo, co słychać w rodzinnych Będkowicach, bo choć stale mam stamtąd różne wiadomości, lecz chcę z różnych ust to usłyszeć.

Pobili się strasznie w Będkowicach — o powiada mi. — Słiekierami się porabiali i młotkami „popukali”. I o nie prawie. Jeden pijany ubliżył innemu i bitka. Jeden chyba umrze, bo ma całą głowę szarataną. Do doktora wiozą go codzień. Ten co dostał młotkiem — poleżał trochę, ale już łazi.

„Bohaterowie” też awantury — to młodzi ludzie: czterech parobczaków i jeden żonaty, około czterdziści lat. Wszyscy zdolni do pracy, a tymczasem jeden leży konający, drugi ledwie łazi, a inni pójdą do aresztu. Smutne to bardzo.

Ten pobity nie ma domu, pół morga ziemi i czworo dzieci. Z żoną nie żyje już od roku. Zbałamuciła go młoda wdowa. Opuszczona kobieta wybija szyby w oknie uwoźdźciela męża, lecz nic to nie pomaga. W czasie referendum ludowego, przed kościołem, była heca: na drodze, opodal lokalu wyborczego wobec publiczności obie kobiety „ucapiły się za rękę”. Pokrzywdzona rzucała się jak opętana. Chciała się zemścić wobec wszystkich parafian.

Z kolei zapytuje o dalsze sprawy.

— Wiedzie, mam szczęście, że mam wyszedł z Będkowie — mówi zadowolony — bo tam całe lato i teraz w zimie pompa w studni ze psuta. I wodę ludziska noszą pod dwukilometrową górę. Nie ma komu zająć się na prawą pompę.

— A co z Kołem Sam. Chłopskiej — pytam ciekawie.

— Chocho, kiedy się ta już Koło rozpadło... Niezadługo jak prezes, skarbnik i wy, sekretarz, wyjechaliście na Zachód.

— To w Będkowicach nie ma żadnej organizacji, tak starszych jako też i młodzieży? — pytam ciekawie.

— Nie ma. Starszym wystarczy kościół i pogwarki sąsiadki, a młodzieży zabawa, gra w karty, a do reszty... fiaszeczka bimbrowa.

— No, no, nie przesadzaj — powątpiewam. — Przecież tam powstał Uniwersytet Ludowy.

— No i co z tego? Tam przecież wykłada też i siostra księdza. A księdza znacie dobrze. Pamiętacie przecież niektóre jego słowa w czasie kazania: „Składanie ofiar na kościół przez parafian jest psim obowiązkiem... Nie myślcie, że ja potrzebuję waszych pieniędzy... Mnie Pan Bóg da tyle pieniędzy ile mi trzeba... Ja gwizdę na wasze pieniądze”.

Wszystko to pamiętam doskonale, jak również znam i obecnie panujące stosunki w Będkowicach i okolicy. Mam stale stamtąd wiadomości. A pytam tylko z ciekawości dla potwierdzenia smutnej rzeczywistości.

Gdzie tu szukać winy? — bo w tych prostackich, pełnych temperamentu ludziach tej winy niewiele widzę. Są to ludzie jak wszyscy inni. Żyją swoją tradycją, której na imię „zacofaństwo”. Starsi są pociągami i wszelką kulturę zastępuje im różaniec, książka do nabożeństwa i pieśń... Więcej oni niewiele widzą przed sobą. I to właśnie ma swoją dobrą stronę, bo gdyby nie ta pobożność — byłoby zapewne gorsze: nie bali by się grzechu i więcej jeszcze czynili zła.

Ale młodzież trzeba wychowywać na dobrych i zdolnych obywateli kraju. Oprócz kultu religijnego — trzeba im coś więcej: — oświaty kaganiec. Im kult religijny nie wystarcza, ba, nawet zanika w ich duszach. Wpływ z zewnątrz jest wielki... Orientują się nieco w sytuacji życiowej, przeto nie wierzą we wszystkich starszym, a nawet księdzu. A nie mając wytyczonej drogi błędą po manowcach i demoralizują się... Puszczają w ruch siekiery i młotki.

I nie należy się wcale dziwić temu, wszak wiadomo, że wszelki posiew zła prędzej znajduje podatny grunt w duszach nieświadomej młodzieży, niż posiew dobra. Osty i ciernie rosną w najłżejszym miejscu, ale szlachetna roślina potrzebuje pielęgnacji. Lecz w niektórych zapadłych wioskach nietylko brak pielęgniarzy, ale i siewów zdrowego ziarna. Na przykład w Będkowicach — oprócz dwu nauczycielek — nie ma inteligentnych ludzi. Nauczycielki nie społecznie nie robią. Jedną z nich — mieszczańką, znieważa nietylko chłopów, ale nawet i dzieci. Pamiętam do brzo jak jednej dziewczynce w szkole powiedziała: „Ty masz krównie ślepią”. Druga nauczycielka „amińska dusza” lecz chorowita i bez energii.

Taka opuszczona wieś jak Będkowice, (a wiele ich jest podobnych) pod względem moralnym stacza się jakoby w dół, zamiast iść naprzód. A w ślad za upadkiem moralnym następuje upadek materialny. A przecież nie wielkich wysiłków potrzeba, aby ją wyrwać z tego bagna. Mam na to praktyczne dowody. Otóż w 1929 roku przy pomocy instruktora założono tam Koło Młodzieży Wiejskiej „Siew”. Ja byłem prezesem Koła. I choć jakże wtedy wiele mi brakowało do prowadzenia młodzieży ku lepszym, jednak wyniki były jakże takie: zespół teatralny przy najmniej zimą był czynny bezustannie. Przedstawienia odbywały się co najmniej raz w miesiącu. A jakąż satysfakcję z tego mieli aktorzy! Jeden drugiego starał się prześcignąć. Nawet niektórzy żonać chłopów i zamężne kobiety chętnie grali swe role. Młodzi przystępowały też do Koła. A na zabawie bywało spokojnie jak w kościele. Nie tylko nie bywało kłótni czy bójk, a nawet rzadko ktoś zaklął. A gdy przypadkowo wszedł pijak — wyprowadzano go delikatnie za drzwi. Bo na zebraniach młodzież postanawiała i przyrzekała być wzorem dla wsi.

Ale niezbyt długo to trwało. Przeszka-dziesiąt starsi. Oczywiście nie wszyscy, lecz była ich większość. Drwili z młodzieży, wyśmiewali się, wkrótce „Koło” stało się jakoby urągowskim.

Młodzi dopełniali jeszcze strażacy. Chodziło im o umniejszenie się dochodów z zabaw. Nie rozumieli, że kształtowanie się młodej na dobrych obywateli ma wcale nie mniejsze znaczenie, od roli strażaków broniących mienia ludzkiego. Wciągnęli więc członków Koła do straży. Mnie zaprosili do kierowania przedstawień i wybrali sekretarzem.

Powoli członków w Kole młodzieży ubywało, aż wreszcie Koło się rozpadło. Po paru latach znów je zorganizowano, lecz niewiele członków doń wstąpiło i niebawem rozwiązało się.

Jeśli wnioskuję wcale w to, czy celem Koła Młodzieży Wiejskiej „Siew” było wychowanie pańskich sługusów, czy też nie. Interesuje mnie sam fakt, że zorganizowana młodzież kształtowała się w kręgu działań społecznych, a tym samym podnosiła by się i materialnie. I jasnym jest, że gdyby na przykład wówczas była to organizacja postępową i nie rozpadła się — średnie jej pokolenie tj. dzisiejsi gospodarze stali by już na wyższym poziomie świadomości społecznej i byłoby zdolni do zadań, które stawia przed nimi dzień dzisiejszy. I ci dalej wywieraliby wpływ na młodzież. Zacofaństwo pozostało, by tylko u starców. Lecz o tych nie chodzi. Dla nich tylko różaniec, nie więcej.

Ale młodzież pragnie innego życia... jakiegoś ujścia swej ambicji i temperamentu. A że nie zawsze odpowiadają jej przesady, bigoteria i konserwatyzm starszych — czy też słowem kasiedza — idą w innym kierunku. Wiatr demoralizacji młota nimi i rzuca na manowce. Bo cóż mają począć, gdy nie mają wyboru między złem a dobrem? Nie ma kierownika kulturalnego, nie ma świetlicy, biblioteki, pism... Za to jest sklepik do gry w karty, jest też i bimber, a to pijanemu można się siekierą porabzać, czy też młotkiem „popukać”. Robi się to niemal na wysłgi, jeden „kozak” nad drugiego... Ale gdyby było skupisko kulturalne — też by szło na wysłgi.

Korespondencja Mariana Miniasa
może nasuwać czytelnikowi sugestie, że
na froncie oświaty rolniczej dzieje się
złe.

Autor przedstawia sytuację na jednym
wybranym odcinku. Nie należy jego uwag
generalizować. Oczywiście, że prócz szkół
dobrze postawionych są i takie, które się
„rozsympują”. Wina w dużym stopniu leży
po stronie czynnika społecznego. Szkodli-
we społecznie jednostki z gromady wię-
skiej wyszarpują z dobra ogólnego naj-
cenniejsze kęsy, utracając z punktu moż-
ność podbudowania jakichś solidnych pod-
staw dla takiej instytucji, jaką jest gmin-
na szkoła rolnicza czy gimnazjum rolni-
cze. To jest błąd lokalny, rozumiemy słu-
sne oburzenie autora. Sprawa wykwalifi-
kowanego personelu jest bolesną, z któ-
rą para się Departament Oświaty Rolni-
czej. Władze centralne problem ten rozgy-
zają. Ma on przecież jeszcze i stronę spo-
łeczną. Z opisu Miniasa wynika, że wieś
Dobroń była celowo przez sanację rozwi-
jana na wieś pokazową, podobnie jak Li-
sków ks. Blińskiego. Te tradycje mogły
w niej i musiałyby przetrwać. Dlatego nie-
unikniony był konflikt w pierwszym okre-
sie powstającej Polski. Starzy miejscowi
działacze mają zapewne przewagę organi-
zacyjną i autorytet tradycji, nowym mo-
gło braknąć i jednego i drugiego, ale tru-
dności w rozwijaniu nowych potrzeb
miejscowych tkwią w różnicy postaw spo-
łecznych. I te różnice muszą być zmiesio-
ne, aby ułatwić i okolicy i Departamen-
towi Oświaty Rolniczej rozbudowę Szkół
w wielu podobnych Dobrońach.

Redakcja.

Aby przedstawić dokładnie znaczenie
gminnych szkół rolniczych, gimnazjów i li-
ceów rolniczych dla wsi, aby udowodnić, że
założenie którejkolwiek z tych szkół, powin-
no wymagać poważnego zastanowienia się,
zwłaszcza ze względu na problem doboru
fachowych sił, opisać gminną szkołę rolni-
czą we wsi i gminie Dobroń, powiatu łaskie-
go.

Wieś Dobroń leży przy autostradzie i linii
kolejowej Łódź — Kalisz. Od fabrycznego
miasta Pabianie odległa jest o 7 km, a od
powiatowego Łasku o 9 km. Gromada Do-
broń składa się z kilku wiosek: Dobroń
Podduchowny, Stary, Mały, Duży, Zabieniec
i dwór; — razem — około 200 numerów.

Jeszcze przed pierwszą wojną światową
ludność Dobronia zrzeszała się w legalnych
i nielegalnych organizacjach, kółkach dra-
matycznych i samokształceniowych, dążąc
w ten sposób do zdobycia wiedzy. Wyja-
dy chłopców i dziewczyn do szkół rolniczych
w Pszczelinie, Kruszyńku i Sokołówku, mó-
wili same za siebie. Nie lekali się grózb
rzuconych z ambony, ani ci, co jechali do
szkół, ani też ci, co czytali „Zaranie” czy
też „Kursy Staszycowskie”. Ci to, stali się
podwaliną tajnych organizacji wojsko-
wych, które walczyły o wyzwolenie Ojczy-
zny.

Z organizacji legalnych istniała Ochot-
nicza Straż Pożarna, dęta, amatorska or-
kiestra, prowadzona przez uzdolnionego go-
spodarza, który nie tylko, że nauczył wszy-
stkich grać, — zupełnie surowy materiał —
(niektórzy z grających nie umieli czytać
ani pisać; nauczani jednak nut, grali do-
skonale); — lecz sam rozpisywał nuty na
trzydziestokilku osobowy komplet. Tak był
zdolny, że usłyszany pierwszy raz utwór,
rozpisał sam na wszystkich instrumenty i
głosy. Istniał również czterogłosowy chór
kościelny i Kółko Rolnicze.

Dobrońscy działacze znani byli szeroko.
Nie brakło ich w żadnych wystąpieniach
przeciw zaborcom; np. orkiestra brała
udział w pochodach w 1905 roku w Pabia-
nicach, a młodzi z „Młodzi idą”, jechali ja-
ko kawaleria w krakowskich czapkach i
barwach narodowych, lecz zostali rozpedze-
ni przez kozaków.

Po odzyskaniu niepodległości, zabrali się
ideowo do pracy z całym zapałem; a zapal-
ten był wielki i niewyczerpany.

Założono siedmioletnią szkołę powszechną.
Pobudowano olbrzymią wozownię stra-
żacką, salę na zebrania i uroczystości i spi-
ralnię. Na sali umieszczona była duża sce-
na, która miała dać możliwość rozwijania się
aktorskim talentom. (Pierwsze sztuki od-
grywane były jeszcze za czasów rosyjskich
w wielkiej stajni pocztowej). Wystarano
się w Dyrekcji Kolei Państwowych o przy-
stankę pociągów osobowych, który od 1927
roku, ułatwia dojeżdżanie młodzieży do
szkół w Pabianicach. (Przedtem chcący się
uczyć w gimnazjach — a takich było du-
żo — chodzili codziennie 18 km. pieszo).
Pobudowano dwupiętrową, murowaną szko-
łę powszechną. Postawiono duży dom para-
fialny, gdzie oprócz dużej ilości mieszkań
dla służby kościelnej i różnych instytucji,
założono dużą salę ze sceną. Założono na
terenie gminy dużo dróg zosowych. W sa-
mym Dobrońu wszystkie ulice są bruko-
wane. Wszystkie drogi w całej gminie, na-
wet piaszczyste, mają po jednej stronie
chodniki, a szosa główna, od gminy do ko-
ścioła, na przestrzeni 2 km, ma chodniki po
obu stronach, miejscami wyłożone krawęż-
nikami.

Przed wojną na terenie Dobronia były
następujące organizacje: Ochotnicza Straż

Marian Minias

Podstawy istnienia gminnych szkół rolniczych

Pożarna, Kółko Rolnicze, Koło Gospodyń,
orkiestra, która na popisie wszystkich
orkiestr strażackich, — w tym były dwie
pabianickie — wzięła pierwsze miejsce;
chór śpiewaczy, kościelny, który w 1939 ro-
ku wzięł pierwsze miejsce na popisach
chórów kościelnych z całej diecezji w Ło-
dź; drugi chór męski i mieszany (nie ko-
ścielny); Koło Rezerwistów, mające boga-
tą i dobrze zaopatrzoną bibliotekę; Kato-
lickie Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej
Żeńskiej i Męskiej, posiadające również ślicz-
ną bibliotekę; Katolickie Koło Kobiet i Mę-
zów, posiadające bibliotekę religijną; do-
brze wyposażony Związek Strzelecki; Klub
Sportowy; Koło Młodzieży Wiejskiej
„Siew”; Koło P. C. K., L.O.P.P., Koło Ligi
Morskiej i Kolonialnej i Związek Zachod-
ni. Oprócz trzech, wyżej wymienionych bi-
bliotek, była jeszcze jedna w szkole po-
wszechniej, jedna wędrowna, a ponadto by-
ło kilku gospodarzy, miłośników czytelnic-
stwa, którzy skompletowali sobie wcale po-
kazuje zbiory. Niektórzy mieli po kilkana-
ście dzieł jednego autora, a byli i tacy, co
mieli wszystkie dzieła kilku autorów, np.
Kraszewskiego, Żeromskiego, Reymonta,
Sienkiewicza, Prusa, Rodziewiczówny, Do-
łęgi Mostowicza i t. d.

Jak wynika z powyższych zestawień, spo-
łeczeństwo dobrońskie garnęło się do
oświaty. Uświadamiano się i wyrabiano
społecznie. Biblioteki działały sprawnie.
Książki były rozczytywane. „Prawo wie-
ku dojrzalej młodzieży”, któremu podlegała
i podlega prawie wszystkich młodzieży pol-
skich wiosek, w Dobrońu było nieznane.
Jesienne i zimowe wieczory były spędzane
przy książce, którą często czytano na głos
całej rodzinie.

Ludzie dbali o zdobywanie wiedzy i do-
kształcanie się. Dbano o kształcenie mło-
dzieży. Corocznie 50 proc. młodzieży, koń-
czącej siedem oddziałów, szło do innych
szkół; — do gimnazjum i Szkoły Rzemiosł
w Pabianicach, Szkoła ta wydała z mło-
dzieży dobrońskiej dużo dzielnych fachow-
ców w przemyśle metalurgicznym. Dużo
młodzieży jeździło do Łodzi. Specjalnie kur-
sujący pociąg szkolny zabierał co rano
około setkę uczących się młodzieży.

Nie tylko w dziedzinie kulturalno-
oświatowej zdobywali Dobrońacy poważ-
ne sukcesy, lecz i w dziedzinie kultury rol-
nej. Gospodarstwa, podmiom kryzysu, któ-
ry niejednej rodzinie podciął egzystencję
na długie lata, zostały postawione na bar-
dzo wysokim stopniu organizacji. Ze
względu na położenie — blisko stutysięcz-
nego, fabrycznego miasta Pabianie — go-
spodarstwa zostały nastawione na hodow-
lę krów, świń i na produkcję warzyw.
Dzięki niezmordowanej pracy, zapobiegli-
wości i wiedzy rolniczej, zdobytej przez
starszych w Pszczelinie a młodszych w
szkole rolniczej w Sędziejowicach, kilku
gospodarzy miało gospodarstwa wzorowe,
do których przyjeżdżały często wycieczki;
n. p. z Łódzkiej Izby Rolniczej; co roku
przyjeżdżali uczniowie Szkoły Rolniczej
w Sędziejowicach; wycieczka Związku
Nauczycielstwa Polskiego; wycieczka z
województwa w wojewodą Hauke - Nowa-
kiem; wycieczka z Ministerstwa Rolni-
ctwa i Reform Rolnych pod przewodnic-
twem ministra Poniatowskiego; wyciecz-
ka Rządu i t. d.

Pomimo ciężkich, przedwojennych cza-
sów, ludzie poprawiali sobie gospodar-
stwa. Rozrzucaли drewniane domy, a sta-
wiali murowane. Cały Dobroń Stary, Ma-
ły i Duży jest murowany. Na trzy lata
przed wojną zostało założone światło elek-
tryczne. Zakładano także radia.

Dobroń pretendował do wsi wzorowej.
Na końcu Dobronia Starego jest stary
modrzewiowy kościół, zbudowany w 1772
roku, a za nim jest dwór, który często
zmieniał właścicieli, rekrutujących się z
łódzkich fabrykantów. Zmiana właścicieli
powodowana była deficytową gospodarką.

Wojna w 1939 roku zahamowała rozwój
Dobronia. Wysiedlania, aresztowania i wy-
wózki w głąb Rzeszy, rozmiotły dobroń-
skich społeczników. Gospodarka wołyń-
ków była wyniszczająca.

Opis powyższy, jakkolwiek zbyt długi i
zdawałoby się nie mający nic wspólnego
z tematem, ma swój sens. Ma on wskazać
na mocne podłoże przy obecnej powojen-
nej pracy. Podłoże to powinno być punk-
tem wyjścia do wszelkich prac, gdyż w
przeciwym razie zamierzenia mogą nie
osiągnąć celu.

Po odzyskaniu wolności, kiedy wrócili
powysiedlani i wywiezieni w głąb Rzeszy,
dużo nie odliczyło się z najlepszych dzia-
łaczy. Ci jednak, co zostali, zabrali się
znowo do pracy nad podźwignięciem zruj-
nowanego wojną Dobronia, lecz napotka-
li na opór ze strony tych, co byli na
miejscu za Niemców. Ci, jako pierwsi za-
garnęli władzę gminy w swoje ręce i po-

wracających nie dopuścili do udziału w
pracach gminy. Oto ich słowa: „Dziś
zmieniły się czasy. Nowi ludzie doszli do
władzy. Starzy spać”. I starzy odeszli —
nie starzy wiekiem, lecz pracą społeczną.

Nie byłoby w tym nic strasznego, że no-
wi ludzie wzięli się do pracy. Wprost prze-
ciwnie... niech nowi pracują.

Może ci starzy rzeczywiście źle praco-
wali?

Gdyby tak było... Niestety, jest inaczej.
Pomijam gospodarza pracę gminy, bo
ta mnie, jako oświatowca mniej obchodzi.
Poruszę natomiast zagadnienie oświaty?

Znaleźli się ludzie, właśnie z tych przed-
wojennych, rzekomo starych działaczy, u-
suniętych w kąt, którzy dążyli do założenia
w Dobrońu, na miejscu majątku prze-
znaczonego na parcelację, gimnazjum rolni-
czego. Ludzie ci rozważając, doszli do
przekonania, że gminna szkoła rolnicza, o
której wtedy jeszcze dochodziły tylko da-
lekie echa, nie ma w tej chwili racji bytu,
a to z tego powodu, że przed wojną jeź-
dziło do różnych szkół w Pabianicach i Ło-
dź około stu dzieci, to teraz, po sześciu la-
tach przerwy w nauce, ilość ta zwiększy
się. Nie we wszystkich przedwojennych
szkołach średnich był utrzymywany nale-
żyty stosunek względem dzieci wsi. Nieraz
pomiatano chłopskim dzieckiem, co bolało
ich ojców. Dlatego też, ojcowie ci, pragnąc
na przyszłość zapobiec temu, co było przed
wojną, mając ku temu sposobność i oka-
zję, chcieli niezależnie swoje i całego Do-
bronu dzieci od szkół w mieście. Drugą
pobudką do założenia gimnazjum rolnicze-
go w Dobrońu, była sama droga do szkół
w mieście i marnowanie na nią czasu. Po-
mimo pociągu, codzienna podróż, wyczer-
pywała dzieci, co odbijało się na zdrowiu
i nauce.

Pomimo, że zabudowania dworu były
małe i niewystarczające pod ten typ szko-
ły, nie zaniedbano starań. Obok dworu by-
ły liczne, ładnie utrzymane baraki „ponie-
mieckie”, które w zupełności odpowiada-
ły na pomieszczenie dla klas i nawet na in-
ternat dla dzieci z odległych wsi. (We
wszystkich barakach było światło elektry-
czne, wodociąg i kanalizacja). Starania,
jakie poczyniono w Kuratorium Okręgu
Szkolnego Łódzkiego i w powiecie, roko-
wały jak najlepsze nadzieje. Podstawą je-
dnak do tego, aby władze zajęły się tą
sprawą poważnie, powinno być wystąpie-
nie Gminnej Rady Narodowej z wnioskiem
o założenie tego typu szkoły.

Gminna Rada Narodowa nie myślała jed-
nak o żadnej szkole ani gimnazjum. Je-
dyną ich pracą były kłótnie o podziały po-
niemieckich gospodarstw, godzenie powa-
żonych wysiedleńców i myśl o uzyskaniu
jak największej działki z majątku. Znale-
źli się i inni członkowie Zarządu Gmin-
nego, którzy prawem kaduka osiedlili się po
ustąpieniu Niemca w majątku i nie dopu-
szczali na plenum Rady ani słowa o za-
łożeniu szkoły, gdyż rokowali sobie nadzie-
je, że uda im się zagarnąć ośrodek dla
siebie, zaś przedwojenni działacze, nie ma-
jąc głosu w Gminnej Radzie Narodowej,
ani też w Zarządzie Gminy, nie mogli prze-
prowadzić swoich zamierzeń. O gimnazjum
rolniczym w Dobrońu pozostała tylko le-
genda.

Kiedy pełnomocnik do reform rolnych
przeprowadzał podział majątku, znów zna-
leźli się ludzie, którzy domagali się wy-
dzielenia dużego ośrodka pod szkołę, lecz
nie poparli przez władze gminy, nie nie
działali. Ośrodek został wydzielony (5
ha), lecz najgorszej, podmokłej ziemi, któ-
ra za czasów niemieckich nie była upra-
wiana, a leżała odłogiem. Podział mająt-
ku został przeprowadzony tak skrupulat-
nie, że ośrodek został bez jednego mebla,
bez konia, z jedną krową, bez narzędzi, bez
paszy, bez zasiewu — słowem — puste
ściany, i w tym to właśnie ośrodku za-
łożyły władze Urzędu Ziemskiego gminną
szkołę rolniczą. W zeszłym roku chodziło
do niej kilkanaścioro dzieci, gdy tymcza-
sem do Pabianie i Łodzi do gimnazjum
jeździ ta sama ilość, co przed wojną i nie-
stety jest nadal traktowana po macosze-
mu, zarzuca jej się, że zajmuje miejsce
dzieciom z miasta. Dzieci skarżą się, że im
opiekunki internatów wymyślają od cha-
mów, a dziewczynki od dziwek.

Ludność Dobronia ustosunkowała się
początkowo dość krytycznie do gminnej
szkoły rolniczej, lecz po poznaniu jej ce-
lów, stosunek ten w krótkim czasie uległ
znaczej poprawie. Zaczęto zgłaszać kan-
dydatów i wreszcie szkoła ruszyła, przy
kilkunastu uczniach i uczennicach. Jaki był
poziom nauki, pomijam. Brak programu,
brak wykwalifikowanych sił, zmusza nas
do przemilczenia poziomu nauczania; ale
za to nie możemy pominąć poziomu go-
spodarki i stosunku szkoły do środowiska.

Na wyszabrowanym ośrodku nie zrobili-

by szkoły sam Salomon, a coś dopiero zwy-
kli śmiertelnicy. Nic też dziwnego, że go-
spodarstwo w gminnej szkole rolniczej w
Dobrońu stoi niżej krytyki, lecz jeszcze
gorzej i niżej krytyki, przedstawia się sto-
sunek personelu szkoły do środowiska.

Personel szkoły, a szczególnie kierownik
nie tylko, że nie zna dotychczas nikogo ze
wsi, ale nie zna i rodziców uczniów. Nie
było wypadku, żeby starał się z kimś roz-
mawiać, albo nawiązać stosunki. A przy-
pomina mi się przedwojenny administra-
tor, którego nie widziałem nigdy rozmawia-
jącego z chłopem — gdy byłem kiedyś
załatwić pewną sprawę, rozmawiał ze mną
przez uchylone drzwi. Do kościoła przem-
kał się niepostrzeżenie specjalną furtką w
parku, kiedy przy przechodzeniu z parku
do kościoła zdarzyło mu się spotkać chło-
pa, odwracał się, jak od czegoś, co cuch-
nie, a pani administratorowa wyjmowała
chusteczkę i wachlowała powietrze około
nosa. Tą samą ścieżką i furtką przem-
kała się obecnie kierownik gminnej szkoły ro-
lniczej i w dziwny sposób, też unika spot-
kania z chłopami, wszystko jedno z jakim
wykształceniem. Czyżby atmosfera pań-
skości i wyższości dobrońskiego dworu
działała jeszcze tak długo? Zawsze i wszę-
dzie otacza się aurołą wyższości, a takich
ludzi chłop nie tylko że nie szanuje, ale
nie cierpi. Za stronięcie od chłopów, chłop
odpłaca tym samym. Pogarda za pogardę.
Nic też dziwnego, że stosunek ludzi do kie-
rownika instytucji, odbija się na samej
instytucji. Nadomiar złego, wśród samego
personelu nie panują nadzwyczajne sto-
sunki, nie wpływa to budująco na gromad-
kę szkolną, obniża powagę szkoły w oczach
wsi.

Rezultat powyższego nie kazał czekać na
siebie zbyt długo. Instytucja o takich pra-
cownikach nie może istnieć. Nic też dziw-
nego, że szkoła rolnicza w Dobrońu, po
pół roku istnienia stanęła. Do obecnej po-
ry nie ma ani jednego kandydata.

To są niezdrowe stosunki, bardzo nie-
zdrowe, ale też i nie odosobnione. Strach
bierze pomyśleć, że tyle wkładu włożone-
go w zakładanie szkół rolniczych, marnu-
je się, że tyle z tych szkół kończy już
swój krótki żywot, szkół, o które walczy-
ło tyle chłopskich pokoleń, których wieś
tak pragnęła i pragnie.

Aby stosunki dobrońskie nie były czymś
odosobnionym, wspomnę o innej gminnej
szkole rolniczej w Drzazgowiej Woli w po-
wiecie piotrkowskim, która też nie ruszy-
ła od nowego roku szkolnego. Rozmawia-
łem z matką jednego z uczniów z ubiegłe-
go roku szkolnego i pytałem się, dlaczego
nie ruszyła?... — „Skąd ma ruszyć” —
mówi mi — „kiedy tam niczego nie uczy”.
Z polskiego i rachunków może tam się i
czego nauczył, chociaż ja nie widzę, żeby
lepiej pisał i czytał jak przedtem, nato-
miast z innych przedmiotów nie. Kto ma
ich uczyć? ci, co sami nie nie umieją?...
(Personel tej szkoły stanowią uczniowie
Rocznej Powiatowej Szkoły Rolniczej). W
innej gminnej szkole rolniczej jest nau-
czycielem wychowanek Powiatowej Szko-
ły Rolniczej, największy tępak z owe-
go rocznika, który do dziś nie napisze zda-
nia, w którym nie byłoby błędów. Ludzie
wokoło podśmiewają się z niego, z tej
szkoły w której uczy i z tych gospodarzy,
którzy posyłają tam dzieci. W innej jesz-
cze szkole, kiedy krowa po wycieleniu do-
stała gorączki porodowej, kierownik —
wychowanek Powiatowej Rocznej Szkoły
Rolniczej — jeździł po różnych wsiowych
znachorach z błagalnymi prośbami o ra-
tunek, a gdy ci odmówili, pojechał do od-
ległego o 18 klm. miasteczka do lekarza,
tymczasem krowa, która mogła być ura-
towana natychmiast, leżała półtora dnia
w chorobie. Jeszcze w innej szkole zde-
chła krowa z zaszuszenia i koń na kolki.

Takich i podobnych wypadków, można-
by naliczyć dużo. Może w innym czasie
wypadki te nie byłyby brane w rachubę,
ale dziś, gdy gminne szkoły rolnicze są
nowością, gdy mają za zadanie przycią-
gnąć do siebie ludność, wyrobić sobie do-
brą opinię i zaufanie, są nie raz wyolbrzy-
miane i przejawskawione, a to bynajmniej
nie wpływa na rozwój tych szkół.

Gminne Szkoły Rolnicze są dobrym po-
mysłem i mają przed sobą przyszłość, dla-
tego, że są dochodzące, a więc wygodniej-
sze i tańsze niż Powiatowe Szkoły Rolni-
cze — internatowe, — gdzie rodzina musi
wyrzec się rąk roboczych syna na okres
11 miesięcy i jeszcze płacić za jego utrzy-
manie.

Gminne Szkoły Rolnicze mają rację by-
tu i jak najlepiej zapowiadają się przy-
szłości, ale nie mogą być prowadzone jak
dotychczas. Muszą być dobrze zagospoda-
rowane; muszą mieć dobry wykwalifiko-
wany personel i urobić sobie zaufanie u
ludzi. Personel musi żyć z wsią. Stać
się jej częścią.

Tego żąda wieś i na to czeka wieś.
Minias Marian

Leonard Sobierajski

Gdy zostały złożone podpisy...

U podstaw prawie każdego sojuszu nie trudno dopatrzeć się kilku zasadniczych momentów. Ze względu na wartość wzrastającą można by uszeregować je następująco. Pierwszym byłby moment koniunkturalny, wyznaczający państwom określone zachowanie się ze względu na aktualną rozgrywkę dyplomatyczną. Gwarantuje się wtedy sobie wzajemne poparcie, zapewnia w pewnych sprawach wspólne stanowisko. Moment ten występuje najczęściej w przeddzień konferencji międzynarodowych, które poprzedza intensywne montowanie politycznych frontów. Jest rzeczą oczywistą, że gdyby w grę przy zawieraniu sojuszu wchodził tylko ten czynnik, byłby on materiałem słabo cementującym dwa narody. Charakteryzuje go przejściowość, partnerzy z chwilą osiągnięcia doraźnych celów rozchodzą się, by realizować oddłą na własną rękę swoją linię polityczną.

Czynnikiem już bardziej skalającym dwa państwa jest pojęcie wspólnego wroga; jest to właściwie najtypowszy motyw porozumienia się dwóch stron. Stoją one wówczas na stanowisku, że tylko łączne wystąpienie zapewni im przewagę wobec kogoś trzeciego, który zagraża każdej z nich z osobna, bądź że tylko wspólnie będą w możności wymusić na kimś trzecim jakieś świadczenia dla siebie. W tej sytuacji, gdy u podstaw porozumienia leży pojęcie wspólnego wroga, na sojuszu automatycznie wyciska się piętno negacji. Strony łączą się z konieczności, wiąże je potrzeba obrony bądź napadu. Gdyby nie zaistniał wróg nie byłoby racji zawierania paktu przyjaźni. To jest właśnie słaba strona sprawy, ponieważ przyjazne wyciągnięcie ręki uzależnione jest od czynnika zewnętrznego.

Jest jednak jeszcze trzeci moment, który zawierającemu sojuszowi może nadać treść pozytywną; dzieje się to wtedy, jeżeli kłownicze czynniki dwóch państw staną na stanowisku, że będzie rzeczą korzystną, jeżeli dwa narody pójda na jak najściślejszą z sobą współpracę, gdyż tylko dzięki tej współpracy będą mogły wytworzyć odpowiednią ilość dóbr, zdolną zaspokoić własne społeczeństwo. Przy takiej koncepcji sojuszu rzuca się w oczy jego aspekt humanistyczny. Kontrahenci tak pojętej współpracy mówią: łączymy się ponieważ dopiero zsumowany nasz wysiłek może nam zapewnić rezultaty, dające członkom naszych społeczeństw pełne zaspokojenie ich ludzkich potrzeb. Postawa ta nie zamyka narodów w ramach własnego interesu, lecz apeluje do instynktu solidarności, który mógłby się realizować w większych zespołach ludzkich, stwarza ona pomosty między narodami, przyczynia się do powstania nadbudowy, której celem byłoby wyrównanie niedoborów, istniejących w poszczególnych państwach. Ten typ sojuszu wzbogaca wartość człowieka, odwołuje się do jego cech konstruktywnych, nie stawia przed nim konieczności zniszczenia innej grupy ludzkiej, by tą drogą korzystać z dóbr, będących jej własnością.

Te wstępne rozważania, upraszczające zresztą zagadnienie, przynajmniej nakazują na konkretną sytuację. Interesują nas mianowicie możliwości rozwojowe określonego sojuszu, którym jest pakt przyjaźni i wzajemnej pomocy, zawarty przez Polskę i Czechosłowację.

W danej sytuacji można by stwierdzić, że w grę wchodzi wszystkie z wymienionych wyżej momentów, różny jest jednak ich ciężar gatunkowy, trudno któryś z nich wyodrębnić jako szczególnie determinujący wolę dwóch państw, trudno również jeden z nich eliminować.

Faktem jest, że przy obecnych rozgrywkach politycznych sytuacja wymaga jednoznacznych stanowisk. W bloku narodów słowiańskich należy tę jednoznaczność wypracować, musi tu zniknąć to, co można by nazwać „swarami w rodzinie”. Przeciągający się między Polską a Czechosłowacją „kłótnia sąsiedzka o miedzę” musi w hierarchii spraw zejść na plan drugi, dalej — musi być rozstrzygnięta jakby „na miejscu” wyłącznie przez strony zainteresowane. Czynnikiem dopingującym załatwienie sporu jest to, że partnerzy oczekują na decydujące rozstrzygnięcia o

wymiarze europejskim. Konferencja w Moskwie musi spojrzeć na dwa państwa słowiańskie jako na kraje o uzgodnionych stanowiskach. Potrzeba sojuszu na tym się jednak nie wyczerpuje.

Premier Czechosłowacji Klement Gotwald w swej mowie powitalnej w Warszawie oświadczył: „Mamy obowiązek zbudowania mocnej zapory przeciwko agresji niemieckiej”. A więc sojusz z wyraźnym wskazaniem na potencjalnego wroga, którym nadal są Niemcy, sojusz o charakterze obronnym. Taka sugestia by się narzucała na pierwszy rzut oka. Umawiające się strony wzmacniają swój system bezpieczeństwa, gwarantując sobie na wszelki wypadek pomoc wojskową, gdyby w przyszłości zaistniała tego potrzeba. W dzisiejszym jednak ujęciu w ramy systemu bezpieczeństwa wchodzi nie tylko armia, lecz cały w ogóle potencjał narodowy z swolm przemysłem, gospodarką, instytucjami. Sojusznikowi w tym wypadku będzie zależało na tym, by jego partner reprezentował jak najwyższą skalę wartości, a nawet więcej i to jest najistotniejsze — będzie mu zależało na tym, by ta skala wartości wzrastała, gdyż wtedy nowymi wkładami bogaci się ten organizm, który stanowią dwa państwa, złączone sojuszem.

Przy zajęciu tego stanowiska nie trudno już przerzucić pomost od sojuszu u podstaw którego leży pojęcie wroga, do zawarcia przyjaźni podbudowanej chęcią obustronnej pomocy przy rozwiązywaniu swych wewnętrznych trudności. Polskę i Czechosłowację szczególnie do tego predestynuje ich położenie geopolityczne. W założeniu sąsiedztwa poszerzonego nowymi granicami tkwi postulat, by oba te kraje wytworzyły jak najbardziej wszechstronną a uzupełniającą się aparaturę gospodarczą. Dzięki tej aparaturze w pierwszym planie mogłoby nastąpić możliwość pełne zaspokojenie własnych potrzeb na pewnych odcinkach; przy nadmiarze pewnego rodzaju dóbr można by za nadwyżki ściągać z zewnątrz inne wartości, którymi ten nowy organizm gospodarczy uzupełniłby luki, które istnieją w jego systemie wytwarzania.

Łącznie Polska i Czechosłowacja rozporządzają poważną ilością surowców i urzędzeń przemysłowych; stanowią więc potencjał gospodarczy, który w Europie może zyskać sobie poważniejsze znaczenie. Wspólny plan inwestycyjny dopomógłby obu krajom do jak najrozsądniejszego rozwiązania zamierzeń gospodarczych. Sojusz czechosłowacko-polski nie jest tylko manifestacją, której wymaga moment historyczny, nie jest także aktem wymierzonym wyłącznie przeciwko komuś, jest natomiast wyrazem dobrej woli dwóch narodów do rzetelnej współpracy, wypełni on się na przyszłość treścią obustronnej korzyści. Współpraca między dwoma sąsiednimi państwami jest pozytywnym elementem i dla samych kontrahentów, jak i dla cementującej się wspólnoty narodów słowiańskich, którym przede wszystkim potrzeba pokoju, by mogły osiągnąć poziom gospodarczy i kulturalny, który byłby w stanie zaspokoić ich potrzeby.

Pakt wzajemnej pomocy nabierze wówczas właściwego sensu, gdy uwidoczni się we wspólnie podjętych zadaniach. Zadania mi tymi to na najbliższą przyszłość wspólne odbudowa obiektów przemysłowych, dzięki którym może się wzmocnić zdolność produkcyjna obu krajów, to uzupełnianie się surowcami czy towarami gotowymi, to wreszcie podjęcie razem takich akcji jak budowa kanału Odra — Dunaj. Przy realizacji tych zadań zacieśni się poczucie wspólnoty, które ze sfery postulatów politycznego przejścia w krew obywateli za przyjaźnionych państw.

KOMUNIKAT

Ob. Bolesław Soczyński, autor wiersza „Kasztanki” oraz Ob. Marian Cieślak, autor wypowiedzi „Jakieś powieści chce dzisiejsza wieś?”. Proszeni są o podanie własnych adresów, celem przesłania honorariów.

Administracja

Wiesław Jażdżyński

Czemu kręcicie nosem?

Na którymś seminarium przy katedrze polityki gospodarczej na fakultecie ekonomicznym Uniwersytetu Łódzkiego omawialiśmy Narodowy Plan Gospodarczy. W dosyć chaotycznej i bezplanowej dyskusji zwracał powszechną uwagę głos pewnego kolegi z akademickich „Wici”, który niezbyt kasmadziej, piętnował z ostatniej ławki stosunki społeczne w obecnej Polsce, dowodząc, że popularny dziś slogan „Polska robotniczo-chłopska” jest frazesem bez rzeczowego pokrycia. Chłop — zdaniem mówcy wiciowego — dźwiga dziś, jak i od wieków ciężar wyżywienia państwa, bez wydatnej pomocy ze strony Rządu, a nawet przeciwnie — jest politycznie hamowany, a przede wszystkim niszczonej ekonomicznie, aby zrezygnował z samodzielnego gospodarowania, wyzbył się szlachetnego instynktu posiadania i był zwykłym, bez jakiegokolwiek wyrazu społecznego, czy kulturalnego — skołochowanym robotnikiem.

Podniesiony głos, zaczerwieniona twarz i błyszczące oczy mówiącego, wprawiły część uczestników seminarium w stan emocji.

Od pewnego czasu zaistniała wśród moich kolegów pomyślna koniunktura na sprawy chłopskie, ruch ludowy itd. Nie było to dla wielu najlepszym wyjściem z sytuacji, ale skoro nie można inaczej? Na tej desce ratunku dopłynę się może do „pomyślniejszych” czasów politycznych. Wtedy będzie można przesiąść się na elegancki okręt narodowy, zmienić flagę z bladej-zielonej koniczyny na inną, ze smukłym orłem Jagiellońskim i koroną.

Kiedy obrońca spraw chłopskich przyjmował gratulacje od kolegów, poprosiłem go na wieczór do siebie.

Przyszedł.

— Taki z was gorący ludowiec. — Jesteście chłopem? — zapytałem.

— Nie, broń mnie Panie Boże. Pochodzę z Pińczowa, gdzie ojciec prowadził, taki, wiecie... interes rzeźniczy. Chłopi dostawiają żywiec, wołowinę, cielęcinę, i t.d. więc też znam doskonale ich dzisiejsze położenie, którego nasza „góra” nie chce poprawić. Teraz dostawy są marne, a interes kuleje. Poza tym ta spółdzielczość odbiera nam klientów.

— Pewno, że macie trochę racji. Patrząc tylko na materiał cyfrowy, dotyczący stanu inwentarza żywego. Wynika z nich, że kiedy w roku 1938 mieliśmy 6.300.000 krów, to w roku 1945 posiadaliśmy ich tylko 2.700.000.

	mieliśmy w 1938 r.	w 1945 r.
Wołów	480.000	200.000
jałowizny	1.748.000	680.000
owiec	1.941.000	710.000
nieregacizny	9.794.000	1.600.000

Widzicie więc, że to nie tylko rząd ponosi winę za ten stan rzeczy, ale działają tu przede wszystkim skutki wyniszczenia wojennego.

— Trudno nie zgodzić się na cyfry, ale mówmy szczerze, jesteśmy przecież obaj swoi, czy za okupacji było znowu tak tragicznie z dostawami ze wsi? Chłom nie tylko windował ceny, jak chciał, ale kazał nam jeszcze chodzić na wieś po zakupy, ostatecznie jednak dało się nienajgorzej żyć.

— Znowu macie trochę racji. Istotnie, stopa życiowa w znacznej części obywateli, szczególnie waszej kategorii, nie obniżyła się podczas okupacji wcale, albo znacznie mniej, niż by to należało sądzić na podstawie dokonywanej przez Niemców gospodarki rabunkowej. Wyrzynane wtedy krowy i świnię karmiły znośnie obywatele, ale dziś, kiedy ich już nie ma — nie mogą karmić. Tamten stan rzeczy mści się dopiero dziś.

— No tak, tak, tak, ale gdzie wy widzicie, choćby tendencje do poprawy, gdzie pomoc państwowa? Słyszysz się tylko, że w sejmie jakiś pan powiedział, że będzie tak, inny znowu w gazecie, że siak. Lecą lata, a tu same projekty, zmiany w stanie rzeczy, teoretyczne ulepszenia itd. A chłop ojcu żywcem nie dostawia, bo nie ma i nie będzie miał.

— Ujmujecie takie szerokie zagadnienia, których to nie jest tylko gospodarze, ale także i społeczno-polityczne w wąskim zakresie własnego podwórka.

— Ależ to najlepszy sprawdzian! „Poco szukać tak daleko, kiedy było jakoś blisko” — powiedział Wernyhora takiemu kiepskiemu gospodarzowi jak wy.

— Nie tylko to powiedział Wernyhora, ale także i „daleko, a było blisko”. Sprawy otaczające nas zbliżają się szerokie podłoże przyczynowe i będą właściwie rozu-

miane na możliwie szeroko pojętym podłożu.

— Ciekawe, jak mi to też wytłumaczycie.

— Należycie podobno do chłopskiego stronnictwa, które ma za sobą 50 lat walki o Polskę Ludową.

— Tak.

— No to biliście się przecież o zmianę struktury agrarnej kraju, walczyliście o reformę rolną.

— Ale nie taką, jak obecna. Oczekuję — chaotyczną parcelację 3 i pół ha w rekordowym czasie nazwiecie może poważną reformą rolną?

— Oczywiście. Mam uważać za poważną reformę rolną parcelację kilkuset tysięcy zaledwie ha, wlokącą się przez wszystkie międzywojenne lata, której wasze stronnictwo nie umiało ani przyspieszyć, ani upowszechnić.

— Mówicie tak jakbyście nie znali skomplikowanych dziejów drugiej Rzeczypospolitej.

— Cieszę się, że to usłyszałem i wnoszę, że skomplikowane daleko więcej dzieje trzeciej Rzeczypospolitej rozumiecie wobec tego doskonale. Przecież w naszych warunkach daleko gorszych od tamtych po pierwszej wojnie światowej — reforma była zadaniem prawie niewykonalnym. Na tle niestęchanego zniszczenia 8 milionów Polaków, na 22 podlegało przesiedleniu, czyli — dwóch pracowało normalnie, a co trzeci dopiero urządzał sobie życie. Nie sądzicie, że ten chaotyczny akt, to połowa wielkiego dzieła?

— Trudno mi odpowiedzieć. Teoretycznie macie rację. Ale, ale, czy mówię z naszym ludowcem czy też z „czerwonym”, bo zaczynam mieć obawę, kolego.

— Z ludowcem, napewno — przecież widzicie, że zapisuję rozmowę z wami — zielonym atramentem.

— No to mówcie, jaką ma wartość dokonana reforma — według waszego zdania.

— Świetnie. Wróćmy więc najpierw do waszego rzeźniczego interesu. Jacy chłopci dostarczali wam żywiec, wszyscy?

— Skądże, tylko bogatsi.

— A reszta?

— Dziady, bezradne gospodarzo.

— A dlaczego?

— Brak ziemi, pomocy, znajomości jakiejś uporządkowanej uprawy, ziemia w szachownice. Z tego połowa miała ziemię rozrzuconą więcej niż w 4 kawałkach, ponad 10 proc. więcej niż w 10 kawałkach.

Gospodarstwa karłowate, te właśnie dziady chłopskie, bezradne gospodarzo poniżej 5-cio hektarowe stanowiły 64,7 proc., a mogące się już utrzymać 5 — 10 hektarowe tylko — 22,5 proc. Nadziałanie rodzinne szło daleko szybciej niż pierwsza reforma rolna, więc dla tego kochany kolego, liczba bezradnych gospodarzo zagród chłopskich była w chwili wybuchu wojny znacznie większa.

— A teraz?

— Czytajcie! Mamy obecnie gospodarstw chłopskich około 2.600.000. Z tego 70 proc. stanowią gospodarstwa 5 — 10 hektarowe, a poniżej 5 ha stanowią już tylko 26 proc. Dzięki odpływowi ludności wiejskiej na Ziemię Odzyskaną liczba tych nieproduktywnych gospodarstw zmniejszy się.

— No, dobrze, kolego, ale pokażcie mi tu plan stworzenia samodzielnych, niezależnych i produkcyjnych gospodarstw chłopskich.

Do tego właśnie zmierzamy. Powiedźcie mi: jeżeli tu za podstawę produktywności przyjmujemy między innymi konieczność posiadania przeciętnie 7-hektarowej gospodarki, to stworzono już tę podstawę, czy nie?

— Stworzono, powiedzmy.

— A istniała ona przed wojną?

— No, nie, ale na miły Bóg, odpowiednio duży obszar uprawy, nie rozwiązuje jeszcze problemu. Mówcie, co chcecie, ale ja nie widzę konkretnej pomocy państwa dla odbudowy gospodarczej wsi. Z próżnego i Salomon nie należy, a co dopiero zniszczony chłop. Wieś roznamiętnia się politycznie, zawraca głowę planami, projektami i innymi gruszkami na wierzbie, a pomyślności, jak nie widać, tak nie widać. Lecą lata, a tu było i jest źle.

— Trochę wam się dziwię. Skąd nagle taki krzyk o pospiech. Przecież przez dwadzieścia lat tamtej wolności nie śpieszyliście się ani z reformą, ani z pomocą.

— Łapciecie za słowa, a ja się pytam o konkretne fakty pomocy dla zniszczonej wsi.

— Wróćmy zatem do faktów. Macie tu numer „Życia Gospodarczego” z końca ub. roku. Podają w nim, że do X. 1946 rozdano na odbudowę zniszczonych zagród

(dokończenie na str. 8-aj)

FAKTY i ZDANIA

DIALOG

(na podstawie artykułu „Wici a młodzież miejska” z Młodej Myśli Ludowej nr 1 rok XVIII, 1947).

Kowal — W dzisiejszej Polsce chłopci stanowią (z naciskiem) jedyną siłę na której może się oprzeć na długą metę państwo.

Przeciętny mieszczuch — ?
Kowal — Ze względu na liczebność i wartości, które reprezentują. „Patrząc na bieg przemian, jakie się obecnie w Polsce dokonują, utwierdzam(y) się w przekonaniu, że bez czynnego udziału chłopów nie mogłoby być mowy o odbudowie gospodarki państwa.”

Przeciętny mieszczuch — Słusznie. A co pan sądzi o nas, o mieście?

Kowal — Z wami jest źle. „Ogrom ustawicznie przelewających się zjawisk, powódź wszelkiego rodzaju wydarzeń, nadmiar wrażeń wzrokowych i słuchowych powodują w dużej mierze zanik wrażliwości intelektualnej.”

Przeciętny mieszczuch — (zaniepokojony) że jak, proszę pana?

Kowal — „Zanik wrażliwości intelektualnej i niechęć do głębszych przemysłów. Walka o byt pogoń za pieniędzmi, powódź wszelkiego rodzaju wydarzeń, nadmiar wrażeń wzrokowych i słuchowych powodują w dużej mierze zanik wrażliwości intelektualnej.”

Przeciętny mieszczuch — (przerazony) powierzchowna powiada pan?

Kowal — Tak jest. „Prądy społeczne i kulturalne przynajmniej i rozpatrywane są jako pewnego rodzaju przemijająca moda.”

Przeciętny mieszczuch — Moda? (składa rece) Hospodzy pomylili...

Kowal — Słuchaj pan dalej — „Przytępiona zdolność do krytycznej oceny spraw, że o powodzeniu tego czy innego kierunku decydują nie wartości, które on rzeczywiście wnoszą, ale panujące w masach nastroje.”

Przeciętny mieszczuch — (przerazony szepem) „Zanik wrażliwości intelektualnej, powierzchowna reakcja umysłu, moda, nastroje...”

Kowal — „A zupełnie inaczej rzecz ma się na wsi. Tutaj umysłowość człowieka kształtuje się pod przemożnym wpływem przyrody. W przyrodzie zaś wszelkie procesy przebiegają powoli ale zupełnie i gruntownie. Już ta sama okoliczność wpływa na kształtowanie się osobowości człowieka skazanego na ciągłe współżycie i współdziałanie z przyrodą.”

Przeciętny mieszczuch — ?

Kowal — „Współżycie z przyrodą warunkujące powolniejsze tempo życia na wsi, nie jest jedynym czynnikiem wpływającym do datnio na ukształtowanie się umysłowości człowieka.”

Przeciętny mieszczuch — przepraszam, jak? Powolniejsze tempo życia jest czynnikiem dodatnim?

Kowal — Tak jest. „Również i praca na roli, jakkolwiek wymagająca dużo wysiłku ma te wielką zaletę, że nie jest jednostajna i monotonna. Warunki w jakich odbywa się praca na roli, wyrabiają w człowieku zdolność do przemysłu.”

Przeciętny mieszczuch — Okazuje się, że zupełnie fałszywie oceniałem pracę na roli. I rzeczywiście warunki tej pracy wyrabiają zdolność do przemysłu? Do jakich?

Kowal — Słuchaj pan dalej. „Wprzagniety w cały proces produkcji i związany z jego wynikami chłop nie tylko wykonuje pracę wysiłkiem mięśni, ale przeżywa ją całą swoją istotą. Stąd wypływa większa skłonność do gruntownych przemysłów i większe poczucie odpowiedzialności. W ocenie zjawisk i wydarzeń chłop mniej ulega nastrojom, kierując się raczej rozsądkiem.”

Przeciętny mieszczuch — A czy to współżycie z przyrodą, to wolne tempo życia, dobrodziejstwo pracy na roli i to wszystko co pan tu opowiadał istnieje również i zagranicą? Np. w Anglii, Francji, Rosji, Ameryce?

Kowal — (młczy)

Przeciętny mieszczuch — Przepraszam, a czy pan jest chłopem?

Kowal — (zdziwiony) Tak jest. A dlaczego pan pyta?

Przeciętny mieszczuch — (nieco zmieszany). No, bo mówił pan, że chłopcy w ocenie zjawisk i wydarzeń kierują się na ogół rozsądkiem...

KONSEKWENCJE ARTYKUŁU I DIALOGU

Sądze, że wolno jest Kowalowi Józefowi mieć nawet takie patrzytnie, że wolno być megalomanem, zwolennikiem konserwatyzmu, wymieszać i gruntownie pogmatwać względnie proste przecia, ale, sądże, wolno mu to wszystko prywatnie, a nie w imieniu młodzieży chłopskiej, nie w imieniu Wici, nie w Młodej Myśli Ludowej. I to przede wszystkim z uwagi na wartości tkwiące w chłopach w grupie społecznej, której w artykule swoim Kowal J. zwyczajnie zaskodził.

d. g.

PODRECZNIKI

Jak przedstawia się sytuacja na rynku wydawnictw książkowych? Pobieżne oglądnięcie kilku księgarń przekona ciekawego, że książki — choć drogie — są, że rodzaje ich są różne i dość licznie reprezentowane. Niezwykle ruch wydawniczy jest jedną z najbardziej ożywionych dziedzin w życiu powojennym.

Gdy przyjrzymy się jednak bliżej tej sprawie, gdy zanalizujemy dane statystyczne, ukaże się i braki. Analizę obecnej sytuacji wydawniczej dał A. Bromberg w nrze 10-ym „Kuznicy” (art. „Wydawnictwa ruszyły”). Opierając się na danych Archiwum Gł. Urzę-

du Kontroli Prasy o wydawnictwach z 1946 roku, stwierdzić można, że produkcja tego roku stanowi tylko 51 proc. produkcji r. 1937. Należy jednak zaznaczyć, że obecne wydawnictwa przewyższają przeciętnie dwukrotnie nakłady przedwojenne. W ogólnej sumie 3248 tytułów jest najwięcej, bo 25 proc. książek i broszur z zakresu nauk społecznych, prawa i publicystyki. Na drugim miejscu jest literatura piękna (17 proc.). Produkcja tego działu odpowiada mniej więcej przedwojnemu stosunkowi procentowemu. Natomiast zaskakująco mała jest liczba podręczników szkolnych (5 proc. ogólnej produkcji) — wynosi ona 121 tytułów, podczas gdy przed wojną produkowaliśmy przeciętnie rocznie 500—700 pozycji, a w r. 1938 aż 1087. Przy tym należy pamiętać, że nowowydawane podręczniki nie uzupełniały tylko braków wynikających w dużej mierze z niszczenia się książek — jak przed wojną. Nakłady ich muszą zaspokoić całkowicie brak podręczników, który stanowi chyba największą bolączkę szkół wszystkich stopni i typów.

Stan ten domaga się natychmiastowej zmiany. Wielkie spółdzielnie wydawnicze („Czytelnik”, „Książka”, „Wiedza”), państwowe instytucje wydawnicze i prywatne, przelewające coraz to większą działalność (znamięnie, że jedynie w dziale beletrystyki), nie porzuciły się dotychczas w dostatecznym stopniu, aby wspólnie zapobiec brakowi podręczników. Istnieje co prawda Związek Wydawców, lecz dotychczas żywej działalności nie rozpoczął. Tymczasem właśnie nie przez dekrety i rozporządzenia od góry, a przez zorganizowaną współpracę wszystkich wydawców, wraz z prywatnymi, można ten stan rzeczy naprawić.

Sprawa jest pilna. Już na 1 sierpnia (a jest to termin bardzo krótki dla zredagowania i wydrukowania książki, przy obecnych utrudnionych warunkach technicznych) — muszą się znaleźć podręczniki dla szkół.

„Przy odpowiednim postawieniu sprawy przez Ministerstwo Oświaty — pisze A. Bromberg — i energicznym zajęciu się tym już teraz — można to zadanie wykonać. Przede wszystkim trzeba stwierdzić, co mogą bez trudności dostarczyć na termin wydawnictwa do tego specjalnie powołane. Następnie należy ułożyć listę podręczników nie objętych jeszcze planem żadnego z wydawnictw, lub takich, których wydawnictwa te w b. roku szkolnym nie będą mogły wykonać, rozstrzygając ten spis o wszystkie dawne podręczniki, które w braku nowych, od biedy mogą jeszcze rok — dwa służyć młodzieży, zwłaszcza podręczniki nauk ścisłych. Te wszystkie podręczniki muszą znaleźć wydawców (do jednego nakładu przynajmniej) i znaleźć tym łatwiej, że nawet przy narzuconej cenie, ale przy zapewnieniu w pierwszej kolejności papieru i drukarni, a co najważniejsze zagwarantowaniu szybkiego zbycia, zysk jest pewny. Właściciel praw poza jednym nakładem miałby prawo do odpowiedniego odszkodowania czy udziału w zyskach. Szczególnie trudna sprawa składów matematycznych i podręczników specjalnych w wypadkach zezwolonego przedruku, bez poważniejszych zmian może być rozwiązana drogą kliszowania lub offsetów.”

Istotnie, sprawa przy odpowiednim postawieniu jest jeszcze do załatwienia. Rozsądne

rozdzielenie brakujących podręczników między wydawnictwa zapewni zaspokojenie luk — a ważnym jest i akcją tej gwarancji powodzenie, fakt, że żaden wydawca nie straci na wydawaniu podręcznika, odbijanego zawsze w większym nakładzie, dwukrotnie przewyższającym nakład przeciętnej powieści.

Chodzi jedynie o zaspokojenie poważnego obecnie braku papieru (nie dość, że go mało — koszt jego po cenach urzędowych ostatnio nagle wysoko wzrósł) — oraz o inicjatywę. A to bezsprzecznie należy do Ministerstwa Oświaty w którym wieś ma swego przedstawiciela w osobie wiceministra Garmarczyka, bezpośredniego opiekuna gimnazjów i szkół rolniczych).

Związek Wydawców najwłaściwiej czeka na ożywienie go celowa i przemysłowa a ważna w skutkach akcja. Będzie to jego pierwszy chwalebny krok na drodze współpracy wszystkich wydawców i wielka zasługa dla polskiego szkolnictwa, dla czekającej szkolnej młodzieży wiejskiej.

Z. S.

POCHWAŁA „WSI”

Słusznie ob. St. Kiszka pisze, iż nie cała wieś, nawet mniej niż połowa wsi może rozumieć literacką poezję i wiersze jakie ukazują się na łamach „Wsi”. Ja także jestem wierszoborem i śle te utwory do pism polsko-amerykańskich, gdyż od długich lat tam jestem znany. Gdy tu pośle do redakcji — idą do kosza bo nie literackie, ale gdy te same śpiewki, wiersze i rymy ala Jontek z Bugaj, widzi wieś w gazecie polsko-amerykańskiej czyta je, śpiewa i uczy się ich na pamięć i pyta dlaczego takich pisma w Polsce nie drukują.

Trudno, czasy się zmieniają. Rodak nasz w Ameryce jeszcze żyje tym co wywozi z rodzinnej wsi sprzed czterdziestu laty i nie wie, o tym, że w Polsce żyjemy nowatorstwem któremu trzeba ulegać, bo co nie nowatorstwo to grafomanstwo.

Gdyby dziś Konopnicka żyła i napisała „Dzwony” to na pewno w pierwszej redakcji poszedłby do kosza jako nie literacki. Poszedłby czy nie poszedł? I dlaczego?

Czasem pytam, jaki cel zamieszczania poezji, które rozumie tylko autor. Nie należy jednak uważać, że jestem konserwatystą. Co dobre było 50 lat wstecz, do dziś zawsze być powinno. Wiersze Broniewskiego są literackie a także czyta się je, gdyż, dobrze z zamilowaniem i rozumie się co się czyta. Ale gdy się patnie coś literackiego o księżycu i pałacie do butów w jednej poezji, to już nie wiem, gdzie ta literackość.

Ale posuwać się musimy naprzód i obracać z „niezrozumiałem” (do pewnego stopnia) aby się stało dla nas zrozumiałe, inaczej szliśmy wstecz. Dlatego nie zgadzam się z wywodami ob. St. Kiszki aby „Wies” tak redagować, aby i cała wieś rozumiała.

Ob. Redaktorze proszę Was nie robić ze „Wsi”, „Chłopów”, „Zielonego Sztandaru” ani „Chłopskiej Drogi”, dlatego, że kołom tamte pisma i potrzebne są wsi jak azot z tlenem płucem, ale „Wies” niech „Wsi” pozostanie, bo i tak kołom. Tak chce i ze „Wsi” zrobić reformę, ale w cyrkulacji i powiększeniu spłać chociaż do 12 stron, abym miał choć na dwa wieczory dość czytania. Idziemy przecież naprzód a nie wstecz i

dlatego wierzy się, iż idziemy do tej chwili w której cała wieś rozumieć będzie swoją „Wies”. Dziś bierze ją chłop bardziej czytający, bierze ją młoda wieś, społecznik, bierze i literat wiejski. Bierze ją ten, co nieco dalej był od rodzinnej wsi. Bierze ją i taki, który wsi nie zna a chce ją poznać. Nie o ilość treści, ale o jakość treści nam chodzi i treści różnej od innych pism wsiowych i dlatego niech „Wies” dalej „Wsi” będzie.

Seweryn Skulski

FERMENT W KULTURZE

Kuźnica wydała numer (12/81) poświęcony całkowicie problemom kultury i oświaty pozaszkolnej ze szczególnym uwzględnieniem roli Towarzystwa Uniwersytetów Robotniczych. Jak stwierdza St. Żółkiewski w „komentarzu” jest on „pierwszą próbą postawienia tego zagadnienia przy wspólnym stole oświatowców, pisarzy, pedagogów, polityków — jednym słowem nareszcie współpracującym wszelkiego typu i poziomu twórców wartości kulturalnych”. Istotnie, zagadnienia kulturalne i oświatowe są omawiane z uwzględnieniem różnych aspektów, przez kilku reprezentantów poszczególnych specjalności: Celinę Bo bińską („Komisja edukacyjna” klasy robotniczej), Henryka Jabłońskiego (TUR wczoraj i dziś), Jadwigę Siekierską (Drogi kultury), Stanisława Dobrowolskiego (Formy i drogi pracy TUR-owej), Tadeusza Żeromskiego, (Koncepcja Robotniczych Domów Kultury TUR). W drugiej części numeru, pisze Anna Kamińska o dyskusji na temat uniwersytetów Ludowych (jaka toczyła się we „Wsi” i „Oświacie Rolniczej”) oraz recenzuje książkę Józefa Kapuścińskiego „Ciemne ścieżki literatury ludowej”; Ryszard Matuszewski zaś omawia właściwą rolę uniwersytetów ludowych w związku z książką J. A. Króla „Drogowskazy na manowcach kultury ludowej”.

Problemy kultury nie rozszczepiają artykuły „Kuznicy” na dwie sprawy: kultury tzw. „ludowej” bezpośrednio produkowanej i konsumowanej tylko przez wieś czy proletariát wiejski i kultury „narodowej” — wyższej gatunkowo i dostępnej tylko jednostkom. — „Podział na kulturę mas i kulturę elity nie może istnieć nadal” — reasumuje St. Żółkiewski. Podział ten dotychczas istniał i doprowadzał do tworzenia i konserwowania różnych podziałów kultury — są przecież ideologów kultury „ludowej” jako chłopu tylko właściwej dla chłopu jedynie i przez chłopów tworzonej. Postęp w zaprzątnięciach na kulturę jest już dziś oczywisty. Nowa myśl nie ugruntuwała jednak jeszcze nowej, do nowych potrzeb przystosowanej praktyki.

„Trzeba jasno powiedzieć — czytamy znów w „komentarzu” — że dzisiejszy TUR i RUL nie mają jasnego planu w tej nowej działalności o wielkim rozmachu, działalności, w której by te dwie instytucje mogły być ideowymi i technicznymi przodownikami, a która by miała urzeczywistnić nowy typ kultury w Polsce.”

Grzechy TUL-u były wielokrotnie przedstawiane na łamach „Wsi”. Uniwersytety ludowe, nastawione wyłącznie na „kształcenie ducha”, „urabianie charakteru”, nie są już dziś właściwymi uczelniami dla inteligencji wiejskiej. Dyskusja o uniwersytetach ludowych i część książki J. A. Króla, poświęcona temu zagadnieniu — świadczy o tym, że uniwersytetom ludowym nowa myśl wyznacza rolę kształcenia działaczy, umiających i chcących oddziaływać na swe środowisko. Droga do tego prowadzi przez włączenie do psychiki chłopu świadomości społecznej i znajomości dialektyki świata zewnętrznego. Książka J. A. Króla — jak pisze R. Matuszewski — „jest nie pozostawiająca żadnej wątpliwości oznaka, że przemiany jakie zachodzą w gospodarce i społecznej kulturze wsi nie mogą nie wpływać na ferment w kulturze. Jest przejawem tego fermentu, przejawem zdrowym, krytycznym i twórczym”.

Stoimy niewątpliwie w obliczu głębokich zmian na polu oświaty pozaszkolnej i kultury. Pójdą one po linii zniesienia różnic kulturalnych dzielących różne klasy i warstwy społeczne, a najrychlejszym ich zadaniem będzie umasowienie i upowszechnienie oświaty.

i. s.

Redaktor naczelny: Jan Aleksander Król.
Komitet redakcyjny: Zygmunt Kałużyński, Stefan Liehański, Stanisław Pięta, Leonard Sobierajski.

Adres redakcji i administracji: Łódź, Piotrkowska 96, tel. 100-98.

Redakcja rękopisów nie zwraca.

Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopom. Chłopskiej.

Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000, 1/2 kolumny zł. 30.000, 1/4 kolumny zł. 15.000, 1/8 kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł. 5.000. Ogłoszenia przyjmuje administracja tyg. „Wies”, Łódź, Piotrkowska 96 i p. telefon 100-98.

Drukarnia Nr. 4 Sp. Wyd. „Czytelnik” — Łódź ul. Żwirki 2. — 011392

Czemu kręcicie nosem?

(dokończenie ze str. 7-ej)

wiejskich miliard 367 milionów złotych, 376.000 m. sześć drzewa, 74.000 ton cementu, 22.700 ton wapna, 1.000 ton gwoździ, 62.000 rolek pasty, 13.500.000 sztuk cegieł, rozprowadzono w teren 595 maszyn do pustaków betonowych, 618 maszyn do wyrobu dachówek, 66 betoniarzki itd.

— Zastaliśmy Polskę „chłopską, kolego — nawet nie drewnianą, ale zniszczoną, a chcemy zostawić murowaną.

— Pewno, tych trochę cyfr ma swoją wymowę, ale mnie chodzi o pomoc w podniesieniu produktywności gospodarstw chłopskich.

— Służę posiadanym materiałem cyfrowym. W związku z akcją siewną, która jak wiecie prowadzono przy pomocy traktorów Min. Rolnictwa, uruchomiono kredyt w wysokości 2 miliardów złotych na zakup maszyn rolniczych. W jesieni 1946 otrzymali rolnicy 300.000 ton nawozów, podczas gdy przed wojną zużywali w tej porze tylko 200.000 ton. Wiosną 1947 r. otrzymają 176.000 ton nawozów przedsięwziętych. Sprowadzono dla nich w roku ubiegłym 500 szwedzkich żniwiarek, rozprowadzono 300.000 kos sprovedzonych przez „Spółem” z Australii. Nie mam danych za 1946 rok, ale już w 1945 wyprodukował nasz przemysł dla wsi ponad 18.000 bron, 12.000 plugów i 1.300 młociarni. Stan technizacji produkcji rolnej jest zły, ale lepszy niż przypuszczacie. Bo kiedy przed wojną wypadało 4 siewniki na każde 1.000 ha, to teraz wypada ich 6 — 7, a w 1949 będzie ich 20 na każde 1.000 ha.

— Chciałbym być z wami szczerzy. Pewno, że są cyfry i cyfry coś mówią. Ale najważniejsze jest dla mnie, do czego to wszy-

stko zmierza, te maszynizacje, elektryfikacje wsi, stacje traktorów, to wszystko pachnie kołchozem, który u nas oznaczałby klęskę narodową.

— Kręcicie, kolego. Coraz o co innego wam chodzi, ale chętnie wam moje zdanie wypowiem. Wsparte materialnie gospodarstwo chłopskie, przez pomoc państwową będzie mogło pełnić rolę samodzielnego warsztatu produkcyjnego. Przedsiębiorcą i właścicielem był, jest i będzie chłop. Zespół takich gospodarstw zrejonizowany na podstawie możliwości produkcyjnych, tworzyć będzie oparty o własną, chłopską spółdzielczość ośrodek produkcyjny artykułów rolnych w ramach ogólnego planu. Jasne, że będą rejon żywyjsze hodowli na Podhalu, a pszenicy w Sandomierskim. Całość będzie już nie przypadkowa, ale planowana, na podstawie warunków produkcyjnych, wyznaczonych położeniem geograficznym, zamilowaniem do tego, czy innego działu produkcji itp. Gospodarstwo nie będzie przypadkowe, jak i proces wymiany. Nie sporadycznie pojawiający się produkt, niepewny zbytu dla nieokreślonego odbiorcy, lecz bez przerwy wytwarzany produkt, zawsze znajdujący zbył — dla konkretnego konsumenta. Zniknie typ gospodarki chłopskiej gnanej na ślepo wicherem dziejów kapitalistycznych. Czemu kręcicie nosem?

— Bo ja nie mam zaufania do dobrobytu w tak wyrachowany sposób budowanego.

— Rozumiem. Macie zle samopoczucie, ponieważ forma osiągnięcia dobrobytu wam nie odpowiada. To nie. Takie zmartwienie przejdzie z chwilą nastania dobrobytu, który warunkuje właśnie najlepsze samopoczucie. Zapewniam was.

Wiesław Jażdżyński